

ŚWIAT

1 zł

Nr. 5. DNIA 4 LUTEGO 1933 ROKU



TREŚĆ:

Aktualne zagadnienia walutowe

•

Szpieg sowiecki w Watykanie

•

Sam wśród dzikusów

Wspomnienia podróżniczo-myśliwskie z Afryki Środkowej

•

Nowoczesne wnętrza

•

W pracowni grafologa

•

Samotnik laureatem

•

Pan Bumke jedzie do Ameryki
(Nowelka M. Decobry)

•

Tydzień „Świata”

Literatura. Teatr. Muzyka.
Plastyka. Mody narciarskie.

W OKNIE...

Każde włosy układają się miękko i falisto
po zabiegu
WIECZNEJ ONDULACJI W FIRMIE

B. MAZURKIEWICZ
NOWY ŚWIAT 40 (gdzie Kino „Pan“)

**Güter-
man**

*jedwab do
Szycia*



Do nabycia we wszystkich aptekach.

Chcesz mieć w
czystości utrzy-
mane mieszkanie
kantor czy biuro
korzystaj ze stałych
usług firmy

WARSZAWA,
ŻÓRAWIA 38 — 10.
Telefon Nr. 298-32

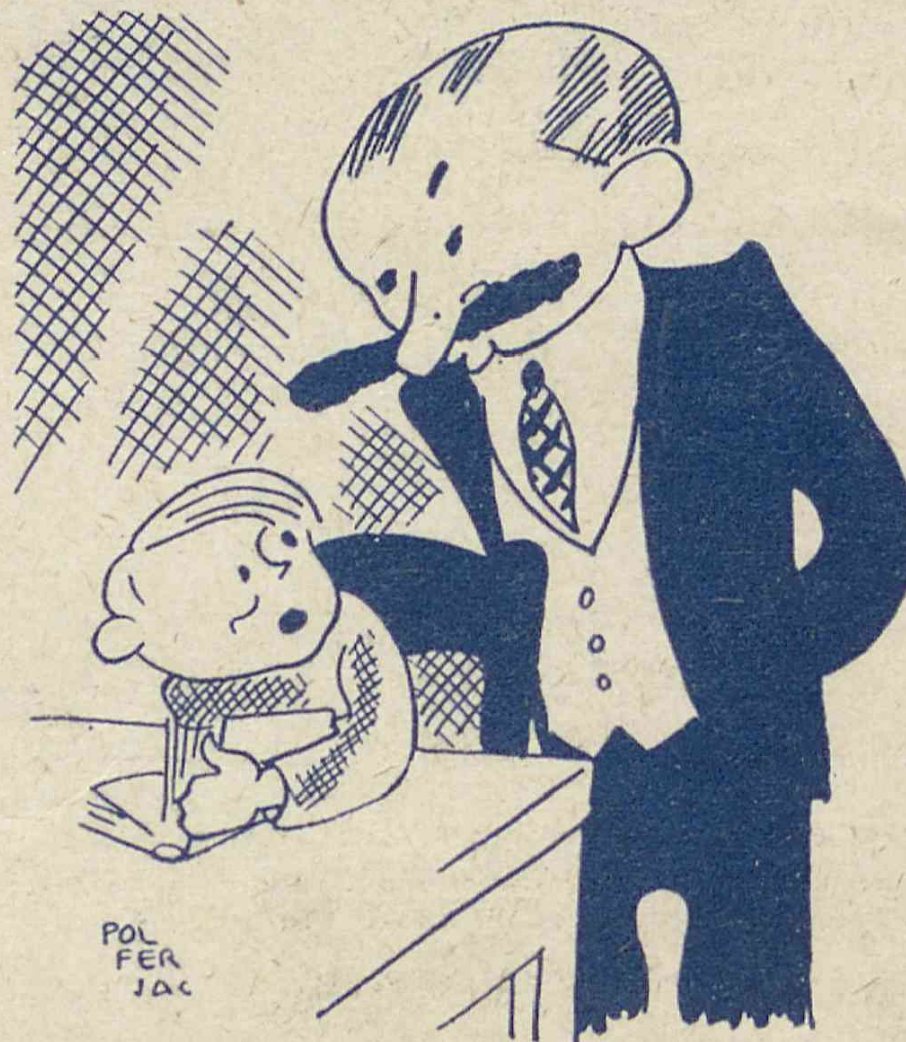
I. Elżanowska

Kantor czyszczenia okien wysta-
wych, wstawiania, kitowania szyb,
cyklinowania i froterowania posadzek,
reparowania linoleum, odkurzania
mebli, dywanów elektrycznymi odku-
rzaczkami. Pakowania okien na zimę



Do nabycia we wszystkich aptekach.

Dowcip francuski, aktualny i gdzieindziej



— Cóż to? Uczysz się historii Francji ostatnie-
go dziesiątka lat? Nie wiedziałem, że w szkole
zaszłście już tak daleko...

— E, to ja tylko tak sobie czytam, żeby się do-
wiedzieć, jak to się wszystko kończy...

(Le Rire)



**WSZYSCY
NA WSPÓLNY FRONT
DO WALKI Z GRUŻLICĄ**



Wytworne Salony Fryzjerskie



MODNE UCZESANIA
WIECZNA ONDULACJA
"DOLFAR"
i METRO-GALLIA
BARWIENIE WŁOSÓW
NA WSZYSTKIE ODCIENIE
WYKWINTNY MANICURE

Ostatnie kreacje mody wykonują specjaliści z Paryża

KOMOL

PLAC ZBAWICIELA róg NOWOWIEJSKIEJ
TEL. 8-41-67 7.

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 4-go LUTEGO 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 5 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Można się bawić!

Nie należy jednak
zapominać o higienie.

K A P I E L

z Pachnącem

Mydłem

Przetłuszczone

M. MALINOWSKIEGO

Orzeźwia i pokrzepia
JAK DOBRY SEN!

Apteka, ul. Nowy Świat 31
Laboratorium Chem. Farm.
Apteki, ul. Chmielna 4

Instytut Kosmetyczno-Lekarski

„IZIS“

w Warszawie

Centrala: ŻABIA 4 (gmach Ordynacji hr. Zamoyskich) Telefon 761-53
Oddział: Marszałkowska 94, tel. 9-98-68
Godziny przyjęć od 10 r. do 7 wiecz.

CZEKOLADA MLECZNA
WEDLA
O WYBITNYM SMAKU MLEKA



NIESTRAWNOŚĆ.
OBSTRUKCJĘ.
ZGAGĘ

USUWA

SÓL OWOCOWA

KARPOSAL
KARPIŃSKIEGO

WALUTA! WALUTA!

Zagadnienia walutowe wciąż odgrywają dominującą rolę w szukaniu środków wyjścia z kryzysu. Niegdyś zarezerwowane dla wąskiego grona specjalistów, dzisiaj roztrząsane są przez szeroki ogół i niepokoją każdego obywatela. To też sądzimy, że czytelnicy nasi z zainteresowaniem przeczytają poniższy artykuł, który wyszedł z pod pióra jednego z wybitnych ekonomistów, od lat biorącego żywy udział w życiu gospodarczym kraju i uchodzącego za wytrawnego znawcę stosunków rolnych.

Oczekiwałem 2½ miesiąca, aby zdać sobie sprawę ze skutków, jakie wywoła na polskim rynku pieniężnym poważne obniżenie stopy procentowej Banku Polskiego do poziomu jeszcze nie stosowanego.

Obserwując stale dekadowe sprawozdania polskiej instytucji emisyjnej, dostrzegłem zjawisko, które jeszcze rok temu byłoby anormalne: po wprowadzonej niższej stopie procentowej portfel weksli obniża się również. Dotychczas, a przynajmniej do niedawna, stopa dyskontowa była zawsze klasycznym narzędziem, regulującym podaż i popyt pieniądza. Płynności pieniężnej na rynku gospodarczym towarzyszy niska stopa i odwrotnie.

Najbardziej klasyczny niegdyś Bank Anglii umiejętnym manewrowaniem stopy procentowej osiągał dopływ pieniędzy do Anglii, lub wywoływał jego ekspansję na rynki zagraniczne.

Dzisiaj panująca w tym kraju pomimo chwiejności waluty angielskiej taniość kredytu (2% stopa oficjalna) jest niczem innym, jak akcją, skierowaną ku utrzymaniu niskich kosztów produkcji. Ekspansja kredytowa schodzi na drugi plan, chodzi o walkę z bezrobociem, a o bilans handlowy co najmniej tyleż, co o — płatniczy.

Jest to niewątpliwie dalszy wyłom wielkiego znaczenia w polityce kredytowej Banku Anglii, który zresztą dawno zaniechał wieloletnio pielęgnowanej tradycji czystego klasycyzmu emisyjnego. W r. 1925-ym wprowadzono obok jedyne za dobrych czasów pokrycia emisji w złocie — obligacje państwowe w związku z przejęciem zastosowanej już w r. 1914 emisji skarbowych znaków płatniczych.

Co by to powiedział wiktoriański typ Forsyta, ujrzawszy w bilansie „Old Lady” taki oto stan rzeczy:

w pasywach.

obieg banknotów	£ 370.000.000.—
depozyty	„ 140.000.000.—
kapitał Banku	„ 18.000.000.—

£ 528.000 000.—

w aktywach:

złoto	£ 121.000.000.—
dług Skarbu i obligacje „	365.000.000.—
weksle i otwarty kredyt „	42.000.000.—

£ 528.000.000.—

Stan pokrycia banknotów i depozytów wynosi 24% złotem, 8% zobowiązaniami prywatnymi i 68%

długiem Skarbu i długoterminowymi obligacjami państwowymi.

Klasycyzm zniknął bez śladu i z nim razem dawna polityka kredytowa i emisyjna.

Lord Melchett w swojej książce „Modern Money” nawołuje do radykalnej zmiany ustroju pieniężnego, polegającej na dwojakim pieniądzu — dla wewnętrznego i zewnętrznego obrotu. Znajduje, że oparcie emisji pieniężnej na złocie, niezbędnym dla obrotu międzynarodowego, lecz ograniczającym jednocześnie wewnętrzny obieg pieniężny, jest przeżytkiem, niemożliwym nadal do utrzymania.

Idee tego rodzaju zjawiają się ustawicznie w umysłach ekonomistów, daremnie poszukujących dróg wyjścia z dzisiejszego stanu gospodarstwa społecznego.

Zdrowszym i bardziej celowym wydaje mi się projekt, doskonale wyłożony przez p. Wacława Fajansa w jednym z grudniowych numerów „Kurjera Polskiego”. Zgoda międzynarodowych czynników finansowych, z kierownikami banków emisyjnych na czele, wypowiadająca się za radykalnym zerwaniem z fikcją krótkoterminowych zobowiązań i spojrzeniem prawdzie w oczy, a więc szeroko potraktowana konwersja bieżących zobowiązań będzie niewątpliwie jednym z najskuteczniejszych środków uzdrawiających.

Długoterminowy kredyt amortyzacyjny, zrujnowany w ostatnim 15-leciu, może być odbudowany powszechną wiarą w odległą przyszłość, ale ludzkość wiarę tę w dalszym ciągu niweczy; czy należy załamać ręce, czy wolno obserwować biernie kruszenie fundamentów życia? Jesteśmy świadkami żywiołowych klęsk; odwrócić je zdoła tylko zbiorowy wysiłek, dlatego też ów projekt, wniesiony na forum międzynarodowe, ma wszelkie podstawy, aby został zrealizowany zarówno przez państwa dłużnicze, jak wierzycielskie.

Przystosowanie polityki i metody emisji znaków płatniczych do charakteru zobowiązań rzekomo krótkoterminowych i do sytuacji na międzynarodowym rynku towarowym stało się koniecznością, prowadzącą ku odrodzeniu rentowności pracy ludzkiej. Zależy na tem, aby to, co dzisiaj okrywa się wstydliwymi pozorami, stało się sankcjonowaną prawdą, odpowiadającą rzeczywistości.

Rozłam, jaki się dokonał pomiędzy złotem i znakiem płatniczym

Łatwiej o doktorat, niż o Koronę



OTTON HABSBURG,
pretendent do tronu węgierskiego
i austriackiego, przybył do Berlina
celem doktoryzowania się na
tamtejszym uniwersytecie

nietylko w Anglii, jest po r. 1924 nowym czynnikiem destrukcyjnym; od 16-tu miesięcy wymierność rynku angielskiego i państw skandynawskich nie istnieje. Ekonomści Stanów Zjednoczonych P. A. wysilają się nad wprowadzeniem „prawidłowej” inflacji, ale jednocześnie pretendują do uszanowania praw wierzycielskich tego kraju w złocie.

Dyskusje na temat długów międzynarodowych kończą się na postulatach przywrócenia obrotów wymiennych w dziedzinie towarowej; postulatach nierealnych, bo całkowicie negujących rzeczywistości, stwierdzającej zanik tych obrotów do poziomu 40% w roku 1932 w porównaniu do r. 1929.

Są to wszystko objawy, świadczące o zaniechaniu posługiwania się prawdą, nie wyłączając operowania cyframi, które zawsze powinny być bezspornym wyrazem ekonomicznej rzeczywistości.

W szczególności co do stosun-

ków w Polsce, podziwiać trzeba jej wysiłek nad stałością waluty, obwarowanej ciężkim na dzisiejsze czasy statutem: 40% pokrycie ustawowe a 45% faktyczne obiegu pieniężnego i zobowiązań bieżących — złotem i dewizami poważnie odbiega od 24% w Anglii, 23% w Niemczech, 17% w Austrii. Niekoniecznie wzorując się na idei Melchetta, należy wątpić, czy Polska przetrwa i rok 33-ci w zachowaniu metodycznej deflacji, której jaskrawym wyrazem jest ustawicznie kurczący się portfel weksli.

Nie oręduję tu za inflacją; przeczytuję ją za większe zło, niż rozsądnie prowadzone ograniczenia emisyjne, bowiem stałość pieniądza jest niczem nie zastąpionym czynnikiem ładu społeczno-gospodarczego, ale trzeba zważyć, że załamanie się waluty angielskiej nie było bezpośrednim rezultatem zwiększonego obiegu pieniężnego. Kto dokładnie przestudjuje „The Economic Journal” z czerwca r. ub., analizujący pozycję angielskiego bilansu płatniczego, zrozumie, ile złożonych czynników wpłynęło na wymienialność angielskiego funta.

Polska, jako kraj względem zagranicy dłużniczy, musi przede wszystkim zabiegać o najdalej posuniętą redukcję oprocentowania i umorzenia wszelkiego typu zobowiązań zarówno publiczno-prawnych, jak prywatnych.

Płacone dzisiaj przez Polskę 9—12% z amortyzacją od jej obligacji są nad siły kraju rolniczego, przed którym system barjer celnych i kontyngentów przywozowych zamyka eksport, gnębiony w dodatku nieobliczalnym dumpin-giem sowieckim.

Londyński „Economist” wyraził zdziwienie z powodu odłożenia przez Polskę grudniowej raty „Hooverowskiej”, ale zapomniał, że chyba Polska jedyna skonsolidowała swój dług z 19-go i 20-go roku ściśle według ówczesnego poziomu cen na artykuły pierwszej potrzeby — 3 lub 4-krotnie wyższego, niż — dzisiejszy. Ani mały procent, ani powolne tempo amortyzacji tego długu nie równoważą tego, co już by raz należało rządowi amerykańskiemu powiedzieć, t. j.: I-o „towary zakupione 13 lat temu za \$ 180.000.000 w rok później można było zakupić za \$ 120.000.000 a dzisiaj za 60.000.000”. II-o dolar w Polsce „może być rezultatem tylko wywozu”.

Economicus

DZISIEJSZE WIDOKI BERLINA



Wygląd ulicy berlińskiej, oczyszczonej przez policję, w oczekiwaniu pochodu demonstrantów



Manifestacja hitlerowców przed siedzibą komunistów (domem Liebknechta) na placu Bülowa

Fot. The New York Times

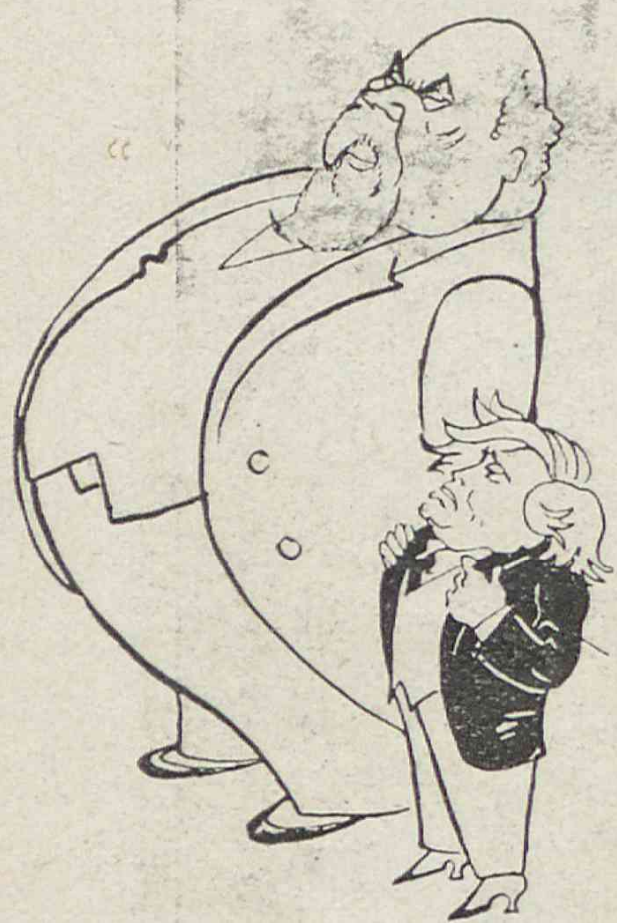


TYDZIEŃ

ŚWIATA

Dwa systemy

(V.) W ubiegłą sobotę o godz. 6 rano Izba Deputowanych obaliła rząd Paul Boncoura podczas dyskusji budżetowej. Katastrofa nastąpiła przy głosowaniu nad wnioskiem rządowym podwyższenia o 5% podatków pośrednich t. j. konsumcyjnych. Był to punkt programu ministra finansów, nieuzgodniony z socjalistami.



W obawie wielkiego brzucha Chérona —

oświadczała ona — poświęcamy wielką głowę Boncoura.

W ten sposób utworzyła się większość antyrządowa 400 głosów przeciwko 170 wiernym. Tak olbrzymiej opozycji dawno nie miał żaden rząd francuski. I jakżeż prędko ją stworzył. Paul Boncour runął po 40 zaledwie dniach urzędowania.

Wrogowie parlamentaryzmu wszystkich krajów zyskali nowy argument: patrzcie, jak kruche są gabinety parlamentarne!...

Tryumf trwał tylko kilka godzin. Tej samej soboty, w południe, ustąpił rząd „prezydencki” generała Schleichera w 57-ym dniu istnienia. Różnica chronologicznie niewielka. Ale jakżeż odmienne okoliczności!

Paul Boncour upadł w pełnej Izbie, z wiadomych przyczyn, znaną większością. Jasne jest, kto go

obalił, kto go bronił do końca. O powodach upadku Schleichera nic konkretnego nie wiadomo. Otacza go tajemnicza mgła zakulisowych intryg i plotek. Domyślać się jeno można, że jak Schleicher podstawił nogę swemu poprzednikowi Papenowi, obiecując Hindenburgowi sklecenie większości w Reichstagu, aby nie trzeba go było znów rozwiązywać, tak teraz von Papen po bił go tą samą bronią, doprowadzając do uzgodnienia stanowiska Hitlera z Hugenbergiem. W tej ideowej spółce Hitler otrzymuje nareszcie upragnione oddawna kanclerstwo, Hugenberg dostaje tekę wszechministra gospodarczego, a „uczciwy pośrednik” zarezerwował dla siebie urząd wicekanclerza i komisarycznego premiera Prus. Podział łupu sprawiedliwy. Brak kilkunastu głosów do większości ma usunąć Centrum pod groźbą rządów pozaparlamentarnych i złamania konstytucji.

Takimi metodami operuje silny „rząd prezydencki” w Niemczech.

O ileż moralniej i zdrowiej rozwija się jawne, parlamentarne przesilenie we Francji. Czy władzę obejmie kartel lewicowy, uosobiony w Daladier, czy powróci stateczny Herriot, czy bardziej jeszcze umiarkowany Tardieu — będzie zawsze wiadomo, jak to się stało i dlaczego się tak stało.

Nie chcą złota

Anglja, jak donoszą depesze, ostatecznie odrzuciła warunek amerykański, że zgodzi się na powrót do waluty złotej za cenę znacznych ulg w spłacie długu wojennego. Anglicy nie mają zamiaru wrócić do stanu rzeczy przed

wrześniem 1931 roku, kiedy byli najdroższym krajem na świecie w niewoli „standardu” złotego. Po zerwaniu ze złotem, zgromadzili dokoła siebie kilkanaście innych krajów, stanowiących obecnie t. zw. „klub szterlingowy” o zdeprecjonowanych walutach.

Sir Frederick Leith Ross, przedstawiciel W. Brytanji w komisji, przygotowującej przyszłą światową konferencję gospodarczą, całkiem otwarcie postawił sprawę:

— Znajdujemy się w wyjątkowo silnej pozycji. Zgórz połowa handlu światowego odbywa się w walucie sterlingowej. Nawet w krajach, które jeszcze zachowały złotą walutę, rosną transakcje w funtach angielskich. W ten sposób stale powiększa się nasza potęga pieniężna.

Tej potęgi Anglicy nie chcą się wyrzec na korzyść Stanów Zjednoczonych i Francji, jedynych właściwie dziś wielkich państw, konsekwentnie przeprowadzających politykę złotego pieniądza.

Sztuka a Państwo

„Pieniądze wydane na Sztukę nie są to pieniądze roztrwonione, ale pieniądze dobrze ulokowane. Upiększając ojczyznę, przygotowujemy nowe zachwyty, ściągamy turystów.

„Trzeba przeprowadzić planową akcję upiększania kraju, przeznaczyć specjalne kredyty na opiekę nad zabytkami, na roboty urbanistyczne, na ochronę przyrody, na muzea i galerje, na szkoły artystyczne, na propagandę sztuki naszej zagranicą, na wytworzenie łączności między sztuką i turystyką.

„Wszystkie te zagadnienia ściśle są ze sobą związane. Ochroniać! tworzyć! propagować! W czasach normalnych akcja taka byłaby może luksusem, w czasach kryzysu jest ona koniecznością”.

Tak mówi M. Bolleart, generalny dyrektor Sztuk Pięknych we Francji.

Von Papen z powodzeniem pośredniczy



— Możebyśmy zrobili interes, panie Hitler!

— Ekselencjo Schleicherze. czas ustąpić Hitlerowi.

— Już wszyscy jesteśmy w zgodzie, panie feldmarszałku.

— Uf, zasłużyłem sobie chyba na fotel ministerjalny.

ZMIANA RZĄDU WE FRANCJI



EDWARD DALADIER,
nowy francuski prezes ministrów.

cyjny dodatek „nadzwyczajny”, otwiera torebkę, by wyjąć z niej drobne. Wówczas jeden ze sprzedawców zapuszcza błyskawicznie rękę w torebkę, chwytając, co się da, i wesoła trójka — w nogi.

Krzyk damy niewiele pomaga. Na tych ulicach niema ożywienia. Policja jest zajęta regulowaniem ruchu na ulicach reprezentacyjnych w śródmieściu; nie może być wszędzie, tembardziej na Wiejskiej i Filtrowej.

Jednej z pań skomunizowano 8 zł., drugiej 32, trzeciej 650!

Ta nowa forma inkasowania należności za dodatek nadzwyczajny w sumie nieco wygórowanej winna by zwrócić uwagę służby bezpieczeństwa.

Ale gwoździem tej prawdziwej a opłakanej historii jest to, że owym dodatkiem nadzwyczajnym było najzwyczajniejsze wydanie jakiegoś świstka z przed dwóch tygodni!...

Włoska rodzina królewska podróżuje



KRÓLOWA WŁOSKA HELENA ODWIEDZIŁA W SOFJI SWĄ CÓRKĘ, KRÓLOWĘ BULGARSKĄ, KTÓRA POWIŁA PIERWSZE DZIECKO. OBOK KRÓLOWEJ — SZCZĘŚLIWY OJCIEC — KRÓL BORYS

Prośba generała

Obrazek z jednego z państw bałkańskich:

Żołd pewnej brygady kawalerzyjskiej nie był wypłacany od miesięcy. Nareszcie generał, dowodzący brygadą, napisał list do ministerjum wojny. Na wstępie stwierdził, że z powodu złych czasów nie będzie się upominał o pensje oficerskie.

„Poradziłem im, aby spróbowali szczęścia w kartach. Niektórzy są zresztą tak przystojni, a panie naszego garnizonowego miasteczka tak miłe. Nie będę również skarżył się na los moich żołnierzy. Poradziłem im, żeby zaczęli żebrać, a pozatem nieco kradną. Krótko mówiąc, oficerowie i żołnierze jakoś sobie radzą. Ale konie, Ekscelencjo! Nie mogę ich nauczyć ani szulerki, ani żebraniny, ani kradzieży. Błagam o przysłanie odrobiny siana”.

„Dodatek nadzwyczajny!”

(go) W pewnym towarzystwie słyszeliśmy trzy panie, które opowiadały z małymi warianctami następującą historję:

W biały (powiedzmy — szary) dzień styczniowy, w dwóch wypadkach na ulicy Wiejskiej, w jednym wypadku na Filtrowej, przechodząca dama jest osaczona, jak to się często zdarza, przez trzech wyrostków wykrzykujących: „Nadzwyczajny dodatek!” Dama oczywiście zatrzymuje się, ile że kobiety są żądne nowin, chce kupić ów sensa-



KSIEŻNA MARJA SABAUDZKA, NAJMŁODSZA CÓRKA KRÓLEWSKIEJ PARY WŁOSKIEJ, ZWIEDZA SZKOŁĘ MĘSKĄ, ENTUZJASTYGNIE WITANA PRZEZ MALCÓW

JAK UCHWALONO DEFICYT 400 MILJONÓW

Odpryski trzytygodniowych obrad komisji budżetowej Sejmu



POSEŁ BYRKA

394 miliony deficytu budżetowego — taki jest wynik trzytygodniowej, niezwykle intensywnej pracy komisji budżetowej Sejmu.

Pracowano z wysiłkiem naprawdę godnym. Dzielny

prezes komisji pos. Byrka od wczesnego rana do późnej nocy prowadził obrady, w których toku poruszano — albo starano się poruszyć — wszystkie bolączki życia publicznego Polski.

Rewja polityczna

Obrady były czymś w rodzaju wielkiej rewji politycznej. Conferencier — dowcipny i złośliwie grzeczny p. Byrka. Gwiazdy — panowie ministrowie. Partnerzy gwiazd — panowie referenci poszczególnych resortów z ramienia klubu BB. Konkurenci gwiazd, albo, jak kto chce, kandydaci na przyszłe gwiazdy — posłowie opozycjoni. Publiczność — cała Polska, której debata komisyjna dostarczała wiadomości, skądinąd niedostępnych i trudnych do uzyskania, a czasami nawet do ogłoszenia.

Kłopoty dziennikarzy

Trudno określić w tej rewji rolę dziennikarzy sejmowych — ludzi godnych pożałowania. Przez cały rok tłuką się po kuluarach sejmowych, znużeni i zmęczeni brakiem wiadomości i brakiem życia w gmachu przy ul. Wielskiej, a kiedy nastąpił upragniony miesiąc wielkiej debaty budżetowej, nie byli nawet w stanie pomieścić w swoich pismach tych wszystkich arcyciekawych wiadomości, które się cisnęły pod pióro.

Klub sprawozdawców parlamentarnych przypominał jakby upadającą z pragnienia karawanę na Saharze, zaskoczona nagle powodzią: po kilkumiesięcznej bezczynności tonął w odmętach kartek djarjusza sejmowego, który, rzecz jasna, przedewszystkiem uwzględnił przemówienia rządowe.

Głosy na puszczy

A przecież i panowie posłowie mówili o całkiem ciekawych rzeczach. Nie przemawiali do wiadomości tylko prezesa Byrki i ministrów.

Pragnęli, aby dowiedział się o ich pra-

cy cały kraj, a szczególnie wyborcy ich okręgu.

Wieczorami, po skończonych obradach komisji, borykający się z djarjuszem dziennikarze chowali się po kątach przed posłami, którzy chcieli „uzupełnić” djarjusz i udzielić swojej autoryzacji tym kartkom, gdzie streszczono ich przemówienia.

Gdzie reportaż sejmowy?

W naszym parlamencie technika sprawozdań, niestety, jest dość staroświecka. Przemawiał pan X, powiedział to i owo, potem zabrał głos pan Y i wygłosił takie a takie zdanie. Czytelnik nie otrzymuje plastycznego obrazu obrad, niekiedy bardzo ciekawych, wprost dramatycznych. Przydałby się nowoczesny reportaż. Uwiecznionoby sporo interesujących momentów, które podają sobie z ust do ust stali bywalcy sejmowi i które zrzadka przedostają się do wiadomości publicznej.

Giną zupełnie w tych sprawozdaniach chwile weselsze, wnoszące odrobinę ożywienia do szarzyzny debat.

„Wszystko do góry nogami”

Posłowie opozycjoni, naturalnie, biadali. Najwięcej — posłowie ludowi, a z pośród nich najsilniej — poseł Róg.

Biadał poseł Róg i nad tem, że wychowanie fizyczne spędza dzisiaj na drugi plan kształcenie umysłu, i że niezdrowy ten objaw znajduje odbicie także w budżecie państwowym. Bo oto gmach Instytutu Wychowania Fizycznego na Bielanach kosztował 10 milionów zł., a uniwersytet gnieździ się w ruderze.

— Tam kształcą i rozwijają głównie nogi, a tutaj głowy — konkluduje mówca.

— Wszystko dziś do góry nogami! — woła z miejsca pos. Stanisław Stroński, który po śmierci pos. Diamanda objął lutnię najlepszego twórcy „zwischenrufów”.

Kartofle księcia Radziwiłła

Ten sam pos. Róg mówi o niskich cenach produktów rolnych na wsi i powiada, że na Kresach Wschodnich chłopci sprzedają ziemniaki po 70 gr. za korzec.

Na to poseł ks. Janusz Radziwiłł:

— Ja mieszkam w powiecie łuckim i stwierdzam, że tak nie jest, jeżeli chodzi o mój powiat...

A na to poseł Róg:

— Prawdopodobnie książę kartofli na jarmark nie wozi...

Poezja prezesa Byrki

Może świadomie, a może podświadomie wnoszą niektórzy mówcy do dyskusji pewne urozmaicenie w postaci zwrotów poetyckich. Stwierdza to prezes Byrka:

— Panowie czytają i wszyscy czytamy najrozmaitsze programy. Niektóre z nich

są nawet bardzo piękne pod względem poetyckim. Położenie gospodarcze maluje się tam na tle egzotycznych pejzaży, wschodu czy zachodu słońca, gdzie suną karawany wielbłądów...

— Oslów! — poprawia wśród grobowej ciszy jakiś poseł-pesymista.

Pikanterje programowe

Jak wiadomo, opozycja stale domaga się od rządu ujawnienia programu. Daje temu wyraz w przemówieniu swem poseł z Bloku rządowego, p. Rudziński, powiadając:

— Panom chodzi o to, aby Rząd uchylił rąbka swojego programu.

Na co pos. St. Stroński:

— Niczego ładnego nie zobaczymy.

Po chwili zabiera głos w dyskusji nad tem samem zagadnieniem prezes Byrka i powiada:

— Tu nie chodzi o ten rąbek, pod który ciekawy jest zajrzeć poseł Stroński...

Niefortunny pomysł

P. wicemarszałek Polakiewicz zaprezentował się ostatnimi dniami, jako lepszy narciarz, niż skarbowiec. Na Bielanach sprawiał się dzielnie. Natomiast w komisji budżetowej wystąpił z mniej szczęśliwym pomysłem opodatkowania tygodników.

Jakiś bliżej nieokreślony podatek od czasopism ma zdaniem p. wicemarszałka zmniejszyć deficyt 390 milionów. Radzilibyśmy p. wicemarszałkowi zajrzeć do ksiąg wydawnictw, oczywiście — niesubsydjowanych. Przekonałby się łatwo o nie-realności swego pomysłu.

Jeden z posłów ludowych zacytował złośliwą anegdotę. Jakoby wyrostki wiejskie, gdy zauważą przybywającego do wsi egzekutora, mają biedz od chaty do chaty z okrzykiem:

— Chowajcie się! Sanacja jedzie.

Uczciwość każe przyznać, że nie jest wcale pewnem, czy inne partje dałyby sobie o wiele lepiej radę z konjunkturami, z którymi borykać się muszą rządy pomajowe. Odrzucając więc wszelkie stanowisko stronnictwa, stwierdzić trzeba, że pomysł p. Polakiewicza nie należy do udatnych.





Grupa księży obrządku bizantyjsko-słowiańskiego w Rzymie. Pierwszy z lewej strony siedzi Aleksander Deubner

TAJNY AGENT SOWIECKI W WATYKANIE

Niebywałe w dziejach kościoła katolickiego szpiegostwo, którego dopuścił się wysoki dygnitarz i mąż zaufania kół watykańskich, ks. Aleksander Deubner, płatny agent sowiecki, szczególnie boleśnie dotyka Polskę, która w tym wypadku jest najbardziej poszkodowaną.

Dyplomaci watykańscy popełnili pomyłkę, Polacy za nią zapłacili i płacić mogą jeszcze boleśniej, o ile nie zmieni się zasadniczo kurs polityki watykańskiej w stosunku do obecnej i do przyszłej Rosji. A kurs ten, mówiąc oględnie, niezgodny jest z interesami narodu polskiego, często nawet wyrządza nam i wyrządza szkody.

Szpiegostwo Deubnera zaogniło jeszcze tę bolączkę i uczyniło aktualną sprawę Unji na wschodnich naszych kresach, które mają być odskocznią na Rosję, „gdy przyjdzie pomyślna chwila”.

W tym celu wyłoniono w Watykanie komisję t. zw. „Pro Russia” o dyktatorskiej niemal władzy. Skład osobowy tej komisji, jakoteż jej prezes, arcybiskup Michał d'Harbigny, z zakonu Jezuitów, wywołują w Polakach przekonanie, iż „Pro Russia” nie tylko nie orjentuje się w rzeczywistości rosyjskiej, ale wprost wrogo odnosi się do polskich narodowych interesów.

Ustanowienie nowego obrządku t. zw. bizantyjsko-słowiańskiego, absolutnie niczem nie różniącego się od prawosławia, tylko uznaniem prymatu papieskiego, wprowadzenia języka rosyjskiego do tej nowej unickiej cerkwi i posługiwanie się nim w stosunkach z ludnością nierosyjskiej narodowości utrudnia proces asymilacyjny z Polską i stwarza pod pozorem misyj katolickich nowe bastiony rusyfikatorskie, niebezpieczniejsze nawet od carskich, bo opierające się o znacznie wyższe intelektualnie duchowieństwo, kierowane i inspirowane przez Jezuitów, którzy w celach misyjnych stworzyli nową swą bizantyjsko-słowiańską gałąź.

Takim właśnie duchownym był ks. Aleksander Deubner i działał jako generalny sekretarz komisji „Pro Russia” i doradca ks. arcybiskupa D'Harbigny.

Polacy, mieszkający w głębi Rosji, a zwłaszcza w Saratowie i najbliższej okolicy, doskonale zdawali sobie sprawę, iż ks. Aleksander Deubner, który zresztą z katolicyzmu przeszedł na prawosławie, a później znów na Unję, jest osobistością bardzo niepewną i nie budzącą zaufania. Nieznane jednak i bardzo tajemnicze wpływy zdziałały, iż właśnie ten niepewny czło-

wiek wślizgnął się na tak doniosły posterunek i ujął w ręce wszystkie nici akcji unijnej.

Zaczęło się więc od likwidacji polskich duchownych i polskich placówek religijnych, a bezpośrednio potem nastąpiły aresztowania, zesłania i wyroki drakońskie na księży polskich, których niewiadomo kto oskarżał i dekonspirował przed bolszewikami. Daremnie szukano sprawców w najbliższym otoczeniu, szpieg znajdował się w Rzymie, w centrali.

Humorystycznie więc wygląda na tem tle podróż arcybiskupa d'Harbigny do Rosji, w towarzystwie Deubnera, agenta G. P. U.

Prezes komisji „Pro Russia” strzeżony był, jak oko w głowie, przez tajną policję sowiecką, aby mu się nic złego nie stało i nie powstał jęczący cały świat skandal. Powrócił więc szczęśliwie z Rosji w tem mniemaniu, iż spełnił wielki czyn misyjny. Srogo zapłacili za tę podróż katolicy, którzy witali gościa z Rzymu, jako zwiastuna dobrej nadziei. I znów w lwiej części byli to Polacy, którzy do tej chwili stanowią gros elementu katolickiego w Rosji. A. Deubner zniknął z Rzymu, uwożąc z sobą ważne akta, które dostarczą materiału do nowych znów prześladowań.



Am wśró dzikusów

Część druga wspomnień podróżniczo-myśliwskich z Afryki Środkowej

4) p. t. „Od oceanu do oceanu”

Jaka była moja radość, gdy dnia pewnego, podszedłszy do luki, spostrzegłem, że z antylopy podrzuconej świeżo dnia poprzedniego pozostała tylko jedna objedzona zadnia noga, reszta zaś znikła, rozciągnięta prawdopodobnie po okolicznych gąszczach. Lwy są! Postarałem się o zabicie nowej przynęty i od tego dnia spędzałem w ukryciu długie godziny, bacznie nasłuchując. Kazałem zrobić sobie wygodny fotel z plecionego bambusa i otoczony rojem tnących niemiłosiernie moskitów — czekałem. Miałem w zasadzce ciężko kalibrowany karabin Heyma, oraz dubeltówkę, nabitą kulami Jackana, którą trzymał siedzący u moich nóg na ziemi Mumo, przygodny strzelec i zamiłowany tropiciel. Pewnego wieczora, gdy zmęczony całodziennym prawie chodzeniem zasnąłem na fotelu, ciężka dłoń Mumo spoczęła mi na kolanach. Usłyszałem chrzęst gruchotanych kości, przeraźliwe mlaskanie, cichy pomruk zadowolenia. Serce mi biło jak młotem, oczy zachodziły mgłą, bałem się wstać, aby oko do luki przyłożyć. Emocja była większa, niż myślałem kiedykolwiek. Dopiero karcący wzrok negra postawił mnie cicho na nogi. Spojrzałem. Oparty o zwieszającą się antylopę stał wielki grzywiasty

lew. Szarpał i tarmosił przynętę, wrywając ogromne ćwiartki mięsiwa. Stał do mnie tyłem. Dokładnie wymierzyłem między łopatki i równo, bardzo wolno, pociągnąłem za cyngiel. Lew zawinął się wstecz i padł, jakby rażony jakimś kolosalnym ciężarem. Długą chwilę stałem zlany potem z palcem na cynglu, gotów poprawić, lecz drugi strzał był zbyt cenny: „król dzungli” leżał, aby więcej nigdy nie powstać. Kula przeszła nawylot, czyniąc straszliwą ranę na piersi, skąd krew lała się strumieniem z rozwalonego serca i poprzerrywanych arterji. Chwili tej nie zapomnę do końca życia; nigdy, nawet podczas wojny w krwawym Verdun, nie przeżywałem podobnych emocyj.

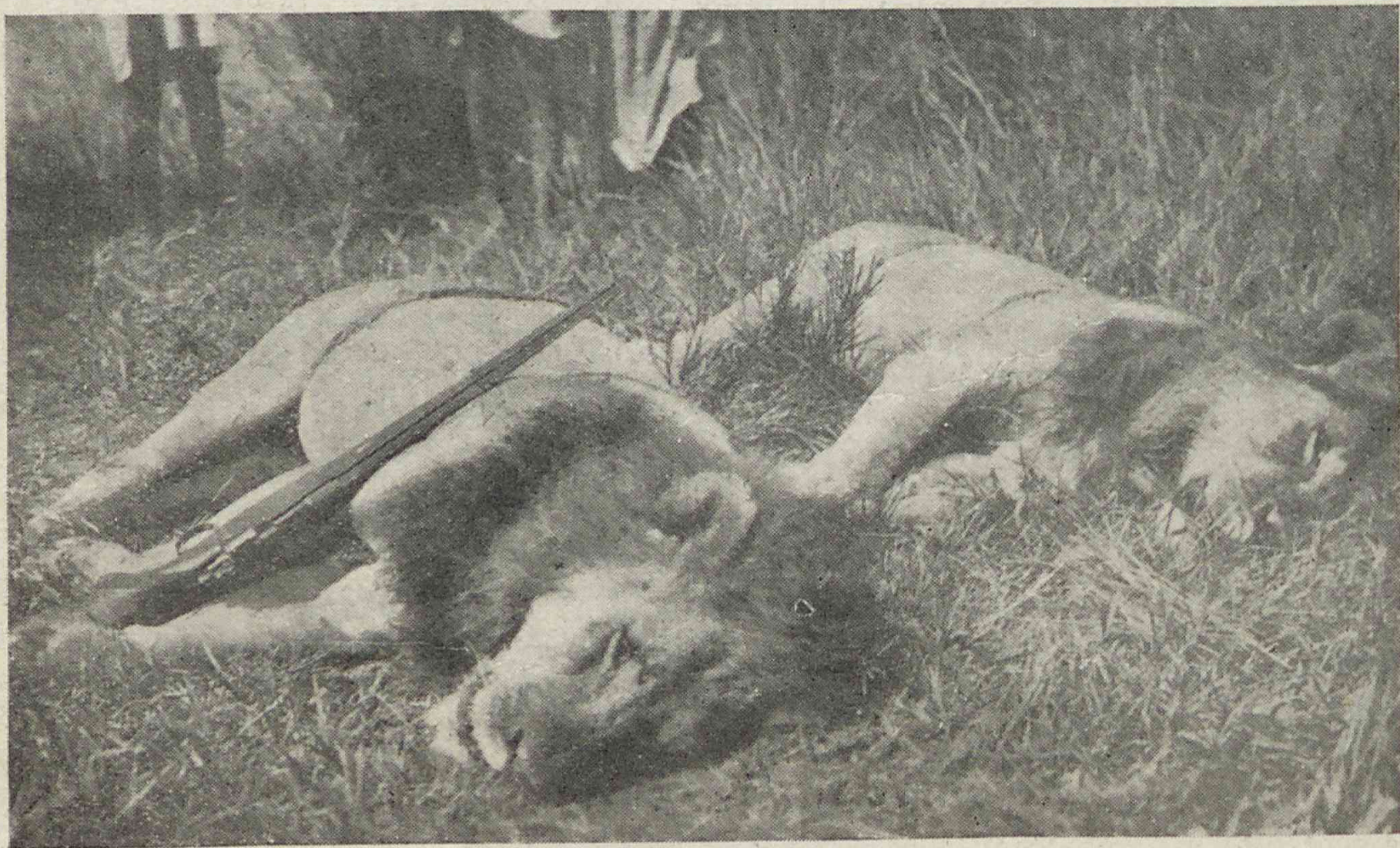
Mumo oglądał niemniej ciekawie odemnie kolosalne cielsko; łapy krótkie a grube były podobne do maczug; pomacałem mu szyję, — był to jeden mięsień. Mumo poradził mi, aby znów zasiaść.

Był to okres jasnych księżycowych nocy. W strefach podzwrotnikowych księżyc stoi w zenicie, ma się go nad głową, a podczas pełni świeci bajecznie, zupełnie jasno, białym, łagodnym blaskiem. Postanowiłem ze dwie godziny jeszcze posiedzieć. Zogromnym trudem podciągnęliśmy lwa na stronę, przykry-

liśmy go ściętymi gałęziami i znów bez ruchu siedliśmy, zamarliśmy w oczekiwaniu. Sen odbiegł, byłem spokojny, choć nerwy całego ciała obróciły się w słuch. Wokoło chóry koników polnych (dochodzących w Afryce do wielkości myszy) dawały monotonny koncert; gdzieś w gąszczu zakłapała hjena, zapłakał szakał, lub wycie dzikich psów przeszło powietrze. Wtem, jak grom, tuż opodał ryknął przeciągle lew. Widać zwietrzył krew bratnią i rzuca wyzwanie temu, kto tę krew ośmielił się przelać. Mumo skurczony przywarował do ziemi. Czekając chwilę długą, jak wieczność. Przyjdzie, czy nie? Najwidoczniej jednak, czy to ciekawość, czy głód wypchnęły go na polanę. Stał wspaniały, bez ruchu, jak posąg, dumnym wzrokiem wodząc dokoła; podszedł do miejsca, gdzie brat jego zgiął, i zaczął wachać krew na ziemi. Posłałem mu z odległości 45 kroków ekspansywną kulę, mierząc w wysoki kark i nasadę szyi. Bez najlżejszego szmeru legł, i tylko drgawki potężnych łap zdradzały przedśmiertną agonję. Był to drugi i ostatni ze lwów, jakie mi się udało podczas mego pobytu w kolonjach upolować. Choć mniejszy od pierwszego, tęgą był sztuką, wspaniale wyrośniętą, o ciemnym, prawie czarnym kolorze grzywy i jasno-żółtej sierści.

Ponieważ czarny panicznie bał się pozostać na straży ubitych lwów, posłałem go w stronę obozu, aby przyprowadził lepszych ludzi do zdjęcia skór, sam zaś, zapaliwszy fajkę i dorzucając gałęzi do rozpalonego ogniska — czekałem na ich powrót. Zwalila się prawie cała wieś w majestatycznym pochodzie przy świetle żagwi i zapalonych, suchych snopków traw, przy akompaniamencie piszczałek i tam-tamów; na czele, oczywiście, stał król.

Gdym dojrzał tę całą zgraję, poważnie zaniepokoiłem się o całość skór lwich, bo negrzy mają zwyczaj zapamiętałe kłuc sagajami trupy zabitych, lub złapanych w sidła drapieżników, mszcząc się w ten sposób za doznane straty w bydle i członkach rodziny. Ledwo też powstrzymałem tłuszcę rozpasaną przed dokonaniem samosądu nad moimi cennymi trofeami, leżącymi bezbronne w świetle pochodni. Kazałem ściągać skóry, które wyniosło na drągach paru czarnych, pozostawiając padlinę, nad którą do rana odbywały się tańce, pijaństwo i dzika zabawa, zakończona orgią i pijatyką.



BYŁY TO JEDYNE DWA LWY, JAKIE UDAŁO MI SIĘ UPOLOWAĆ W AFRYCE

Wróciłem do auta i po sutem śniadaniu chciałem się trochę prześpać. Nie dane mi jednak było zacząć zasłużonego spokoju, bo wkrótce zastraszający harmider oznajmił mi, że coś się dzieje niesamowitego w pobliżu. Była to, jak się okazało, delegacja młodych wojowników, którzy, dowiedziawszy się o zabiciu lwów *), z odległej, w głębi lasów położonej wsi, przybyli gremjalnie, aby zaopatrzyć się w zęby lwie, które, jako fetysze rycerskie, miały stroić ich bransolety z włosów żyraf, noszone wysoko nad łokciem prawej ręki. Do tych bransolet przymocowują cenne trofea z kłów lampartów i lwów, pasujące ich na wojowników, gdy przechodzą z okresu chłopięcego w okres zaprawionych do boju i innych męskich czynności „tuku-tuku”.

Ponieważ nie chciałem się wyzywać cennych czaszek lwich, chcąc je spreparować i do Europy zawieść, musiałem wobec tych dzikusów użyć terroru, gdyż w żaden sposób nie chcieli odejść bez kłów. Tegoż dnia było przyjęcie u króla, na którym byłem, naturalnie, główną atrakcją. Prócz, jak zwykle w takich razach, odbywających się orgij i pijaństwa, odbył się świetnie wykonany taniec wojenny, przy akompaniamencie murzyńskich śpiewów i ogłuszającej muzyki. Król tymczasem przygotował dla mnie niespodziankę. Gdy zabawa była w całej pełni i towarzystwu już się dobrze kurzyło z kosmatych łbów, na znak dany przez jego królewską mość zapanaowała grobowa cisza. Zza szalasu, pod którym siedzieliśmy, wyszła jedna z żon królewskich, prowadząc za rękę młodą, bardzo ładną murzynkę. Była wysoka i zgrabna; włosy zebrane w krótki warkocz, ściągnięte nad karkiem, w uszach duże szczyrołote kolczyki, pełne wisiorów z drobnutkich perełek, misternej bardzo roboty. Na szyi, oprócz podwójnego rzędu paciorków, miała ciężki naszyjnik z różnokolorowych kamieni, pięknie do jednej wielkości doszlifowanych, wokół bioder, ręcznie, w oryginalny deseń haftowaną przepaskę. Była cała wysmarowana oliwą palmową i skóra jej o pięknym oliwkowym odcieniu lśniła na słońcu, jakby dopiero wyszła z wody.

*) Murzyni posługują się „tam-tam'em” do nadawania depeš. Czynią to według im tylko znanego alfabetu, którym rozmawiają na wielkie nieraz odległości, dzięki bardzo doniosłemu dźwiękowi tych długich bębnow, zrobionych z wydrążonych pni drzew.



BYŁA WYSOKA I ZGRABNA...

Królewska żona nieśmiało przyprowadziła ją do mnie i kazała jej usiąść przy moich nogach. Byłem szalenie zażenowany tą beczere-monjalną procedurą, wiedząc jednak, jak wielką przykrość zrobiłbym królewskiej rodzinie, odmawiając tak cennego daru, położyłem dłoń na kruczych splotach dziewczęcia i podałem jej papierosa, którego skwapliwie zaczęła palić, wypuszczając wielkie kłęby

dymu. Mumo radował się ogromnie, wykrzykując w moją stronę:

— Ti blanc joli madame, ti avoir beaucoup enfants!

Cała ta scena wprawiła mnie w świetny humor, to też kazałem z auta przynieść butelkę whisky i poczęstowałem nią króla i jego najdostojniejsze żony. To ich dobiło. Widocznie wino palmowe w połączeniu z tym produktem szkockim działa odurzająco na słabe głowy murzyńskich obywateli. To też rozpasanie doszło do kulminacyjnego punktu: dziki wir tańca ogarnął władczy umysły czarnych, sagaje i puklerze wylatywać zaczęły wysoko w powietrze i wszystko razem zawirowało w tumanach drobnego kurzu.

Widząc, na co się zanosi, wycofałem się z widowni, zdecydowanym krokiem udając się do obozu, gdzie zapowiedziałem boy'om, aby mi nikogo nie wpuszczali. Jak cię szła za mną śliczna czarnooka córka królewska, z wielkim przerażeniem oglądając namiot i stojącą opodal maszynę. Nazywała się dźwięcznie Mahijani, pochodziła ze szczepu wojowniczego Saari, języka jej jednak zrozumieć nie byłem w stanie, tak że dopiero dnia następnego, gdy Muma otrząśnięty z alkoholowych oparów, mogłem się coś niecoś od niej dowiedzieć.

(D. c. n.)

Wojciech Marylski

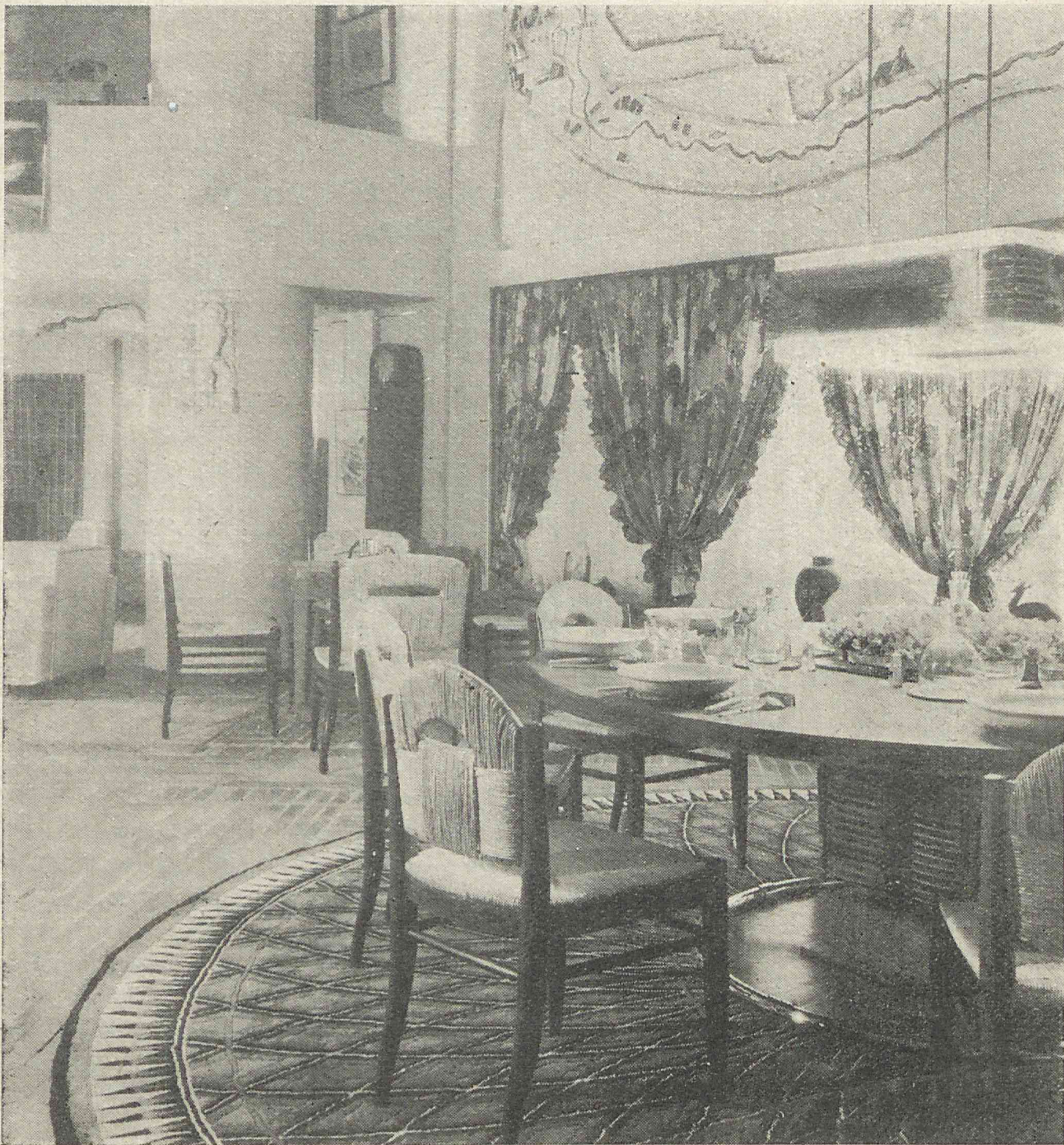
NOWOCZESNE WNIĘTRZA

Paryska Wystawa dekoracyjna 1925 r. wpłynęła bardzo silnie na ruch twórczy w dziedzinie sztuki stosowanej. U dekoratorów tej miary co Sue, Campagne des Arts Français, Majorelle, Leleu i tylu innych, poczynawszy od tego okresu, wyczuwa się dążenie do stworzenia całości, wykonanej z precyzją, bez zbytej fantazji, z zachowaniem umiaru w pomyślach, jednak z pewną dozą idealizmu celem stworzenia „home'u” — praktycznego, wygodnego i pięknego jednocześnie.

Jednym z dekoratorów, który prym dzierży we współczesnej sztuce dekoracyjnej paryskiej, jest Ruhlman. Zasadę jego stanowi, że nie wystarczy przedstawić umeblowania jednego tylko pokoju; należy stworzyć całość mieszkania. To też Ruhlman postanowił pokazać nam wnętrze „dworku wiejskiego”. Nazwał go nawet dość oryginalnie „Rendez vous des

pêcheurs des truites”, innymi słowy: pawilon rybaka. Jakżeż dalecy jednak jesteśmy od tego, cośmy zwykli sobie wyobrażać pod nazwą dworku wiejskiego, a tembardziej schroniska wędkarzy. Większość pomysłów z „Dworku wiejskiego” może z równym powodzeniem być zastosowana do obecnych naszych mieszkań.

Spójrzmy na owo wnętrze. Jakby na usprawiedliwienie nazwy, tuż przy wejściu w rogu sali jadalnej stoi cały szereg strzelb myśliwskich i narzędzi rybackich, a nawet suszy się para wysokich butów, świadcząca o zamiłowaniach sportowych mieszkańców tego domu. Na tem jednak kończy się specjalizacja, uwydatniona w nazwie. W głębi, pośrodku pokoju, duży okrągły stół, wykonany z drzewa, najprawdopodobniej dębowego, które zda się nosi jeszcze w sobie zapach żywicy. Na stole zamiast obrusa rozłożo-



WNĘTRZE „DWORKU WIEJSKIEGO” RULHMANA. SALA JADALNA

ne są serwetki kunsztownie plecione ze słomy, a na każdej z nich, miast talerzy, miski z ceramiki; widok ich przypomina nasze misy gliniane, zda się, pełne zupy dymiącej ze skwarkami na dnie pływającymi. Pośrodku stołu wielka miska gliniana. W niej czerwienią się polne i leśne kwiaty, uzbierane ręką gospodyni. Krzesła wokół stołu niczem nie są wyściełane. Siedzenia i oparcia również plecione ze słomy. Wzdłuż ściany idzie szerokie okno ustrojone po bokach w firanki z kretonu, gdzie wielkie czerwone i niebieskie begonje tworzą ciemne i krwawe plamy na mlecznej całości.

Sala jadalna graniczy z pokojem, który niczem od niej nie jest oddzielony. W głębi stoi kilka foteli pokrytych skórą, obok zaś kominka, w którym przygotowane są polana, ławeczka, dalej stolik do gry w karty, na nim kilka książek. Dopełnia całości wielki zegar, który miarowym swym uderzeniem usposabia do medytacji zarówno gości, jak i gospodarzy.

Na górze mieści się pokój sypialny. Jest on równie prosty i skromny, jak bawialny i stołowy. Meble z prostego drewna. Dwa łóżka, komoda, toaletka, szerokie okno — oto całość, która nietyle swym kunsztem, ile prostotą wzbudza w nas uczucie, że gościmy w dworku wiejskim.

A jednak jakżeż daleki jest ów pawi-

lon „Rybołówstwa” Ruhlmana — od polskiej wsi!

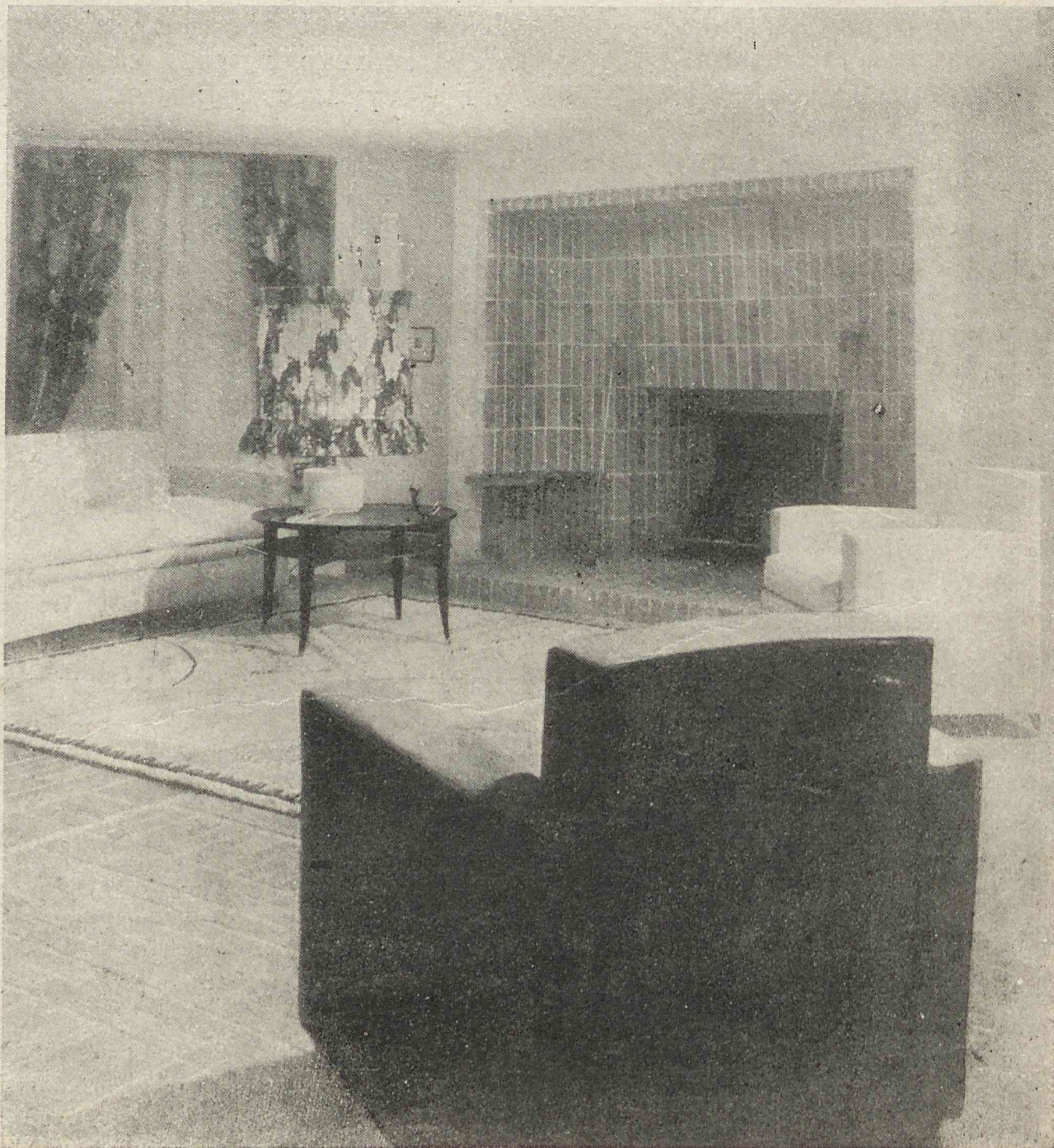
Na zakończenie dodam tylko, że pomimo, iż Ruhlman i jemu podobni szukają kontrastów w kolorach, jak nprz. w opisanym dworku, gdzie na seledynowe tło ścian rzucone są czerwone odcienie firanek, jednak panuje tam zupełna harmonja barw i odczuwa się poszukiwanie spokoju i równowagi zarówno dla oka, jak i dla zmysłów.

Tembardziej więc rażący jest kontrast ze świeżo wprowadzoną modą z Niemiec, która usuwa z mieszkań drzewo, zastępując je metalem: metalowe rury i szkło — oto nakaz niemiecki, oto ideał ich wnętrz, których gładka, błyszcząca powierzchnia ma raczej coś wspólnego z lodową powłoką, niż z przytulnem urządzeniem mieszkania.

Zresztą moda niemiecka przenika do Paryża. Ostatnio zbudowany Théâtre Pigalle, odpowiadający wszystkim wymaganiom technicznym, może jedyny w swoim rodzaju, posiada foyer, którego ozdobę stanowią trapezoidalne metalowe rury. Rury te umieszczone są wpoprzek i wszerz, zresztą może efektowne, lecz bardziej przypominające salę gimnastyczną, niż tło dla obnażonych ramion kobiet, przechadzających się w przerwie antraktywnej.

Paryż.

Emilja Brunerowa



WNĘTRZE „DWORKU WIEJSKIEGO” RULHMANA. POKÓJ BAWIALNY



„BEZIK“



„FRAGMENT Z ABRAMOWA“

SYMFONJA BARW

Jeśli kolor muzyczny i ton malarski są jednością, to twórczość pani Michaliny Krzyżanowskiej upodabnia się do współczesnej symfonii muzycznej.

Bez patosu i bez kakofonji, ale z jasnym zamierzeniem wywoływania nastroju.

Nazywał się ten rodzaj, kiedyś, powiedzmy za czasów romantyki, nastrojowym malowidłem, a Böcklin doprowadził je do zenitu. Ze względu na dawność tezy artystycznej i zupełną odmienność środków, jakie stosowali ówcześni malarze, warto o tem wspomnieć, aby się nikomu nie zdawało, iż młoda polska malarzka ma coś wspólnego z ową mocno już oklepaną rutyną, która zeszła do grobu, przywalona złorzeczeniami, iż „shańbiła malarstwo i poszła w służbę literatury“.

Pani Krzyżanowska, uczenica swego wielkiego męża, ś. p. Konrada Krzyżanowskiego, ujęła rzecz zupełnie inaczej, albowiem nie konstruuje obrazów, tak, jak to czynili romantyczni antenaci, ale na sposób rzetelnie realistyczny maluje rzeczywistość.

Maluje bez zarzutu, wszystkimi wartościami dobrego mistrza, który przeszedł porządną szkołę i niewiele już ma wątpliwości technicznych, chyba, że umyślnie je sobie spiętrza.

A urok jej sztuki polega na tem, iż nie zachowuje wobec zjawisk obiektywizmu, pozostawiając go obiektywom fotograficznym i impresjonistycznym prosektorjom malarskim.

Nastawienie jej oczu i palety jest czarownie romantyczne.

I gdy coraz powszechniej mówicie, iż rodzi się nowy romantyzm, który ożywił ma duchem piękna i poezji brak gotówki, plajty, bezrobocie, bokserów, kopaczy piłką i wszystkie sex-appeal-y razem, czem-

MICHALINA KRZYŻANOWSKA

spieszniej prowadzcie niewiernych do salonów „Zachęty“, aby im pokazać obrazy M. Krzyżanowskiej.

Przewala się w nich sentyment i niepokoi, jak dźwięk tanga, dołce i con fuoco.

Kiedyś tak malowano w takt walca, opowiadając dźwiękiem i pędzlem o uczuciach „ludzi serca“.

M. Krzyżanowska jest jednak artystką współczesną, więc gwałtowniejszą i wyrazistszą w swej mowie. A jednak gdy stanie przed „starą oficynką“ lub „okienkiem na poddaszu“, płata się pod jej paletą idyla, w alei parkowej koniecznie snuje się tajemniczość, po pasiece przechadza się cisza i pogoda, przydrożna kapliczka owiana jest smętkiem prastarego bożków uroczyska, a gdy maluje góry na Korsyce, taka grozą wstępuje na jej płótno, jakby na chwilę wyskoczyć miał z za Birbante Rocco straszliwy Rinaldo Rinaldini. Gdy zaś spotka dwie babunie razem, usadza je na staroświeckiej kanapie, oświetli niemodną lampką z abażurem i każe im grać bezika.

I dobrze, że M. Krzyżanowska tak robi. W ten bowiem sposób maluje inne obrazy, niż jej współcześni i, nie zaniebując formalnych wartości sztuki, kładzie nacisk na wewnętrzną treść dzieła, co nie może być żadną miarą obojętne dla artysty.

Witold Bunikiewicz

RZUTY I SKRÓTY

ARCHITEKT SOWIECKI O ARCHITEKTACH POLSKICH I O PLACU PIŁSUDSKIEGO

W numerze styczniowym „Architektury i Budownictwa“ pomieszczone są wyjątki z listów Anast. Żukowa, jednego z czołowych architektów sowieckich, dwukrotnego laureata konkursu na Pałac Sowie-

tów. Młode lata spędził w Warszawie, umie po polsku, żywo interesuje się ruchem budowlanym u nas.

Współczesnej architekturze zachodnioeuropejskiej zarzuca przerost utylitaryzmu i przesadne apoteozowanie nowoczesnych materiałów budowlanych, doskonałości polerowań, ubóstwo prymitywnie geometrycznych brył, — świadomą negację sztuki.

Za jeszcze gorszą uważa architekturę dorobkiewiczów, nieznosny luksus architektury amerykańskiej z jej „bogactwem i pięknosciami“ — „wzór szkodliwości wpływów złotego cielca na sztukę“.

Z naszych budowli — krytykuje Bank Gospodarstwa Krajowego, zarzuca brak jednolitości w kompozycji gmachu, nieharmonizowanie dolnej części budynku, osnutej na pionach konstrukcji słupowej — z górną częścią, pomyślaną jako monolitowy mur o podziałach poziomych, chwali natomiast projekty i budowle Bohdana Pniewskiego.

„W związku — pisze — z szybką rekonstrukcją Moskwy, która już dobitnie uwidacznia się w mieście, interesuje mnie kwestja przebudowy placu Saskiego w Warszawie. Przypominam sobie, że istniały piękne projekty przebudowy tego placu, któreby mogły zrobić z niego jeden z lepszych, po rzymskich, placów świata, swoją powagą i surową monumentalnością, malowniczym efektem prześwitów kolumnady na ogród Saski, kolorową posadzką bruku i t. p. Sądzę, że nie byłoby to czemś nadzwyczajnem w sensie wydatków. Czemuby tego nie zrobić na koszt społeczny? Droga chociażby specjalnej pożyczki loteryjnej. Dałoby się osiągnąć najszcześniejszy pejzaż architektoniczny o znaczeniu nie tylko miejscowym. To polska społeczność powinna zrobić!“

IRZYKOWSKI CONTRA BOY



KAROL IRZYKOWSKI.

Karol Irzykowski, znany krytyk literacki i recenzent teatralny „Robotnika”, wydał książkę „niezbędną dla czytelników Boy’a”, pt. „Benjaminek”. Popularność, jakiej zażywa autor „Dziewic konsystorskich”, skłoniła Irzykowskiego do szczegółowej analizy dorobku intelektualnego tego pisarza. Analiza ta nie jest beznamietna, obiektywna. Autor „Pałuby” twierdzi, iż „Boy jest wciąż tylko tłumaczem i także, gdy pisze feljetony, nic innego nie robi, tylko tłumaczy myśli już gdzieś skryzalizowane”.

Dodaje przytem taką refleksję: „Spróbujcie przełożyć sławniejsze feljetony Boy’a na obce języki, a zobaczycie, jaki śmiech powstanie, że to ma być pierwszy pisarz polski”.

Irzykowski krytycznie też ocenia dorobek tłumaczeniowy Boy’a, pisząc: „Co najmniej połowa przekładów Boy’a jest zbyteczna. Od Boy’a zaczął się zalew polskiego czytelnictwa obcą literaturą”. Co więcej Irzykowski utrzymuje, iż w przekładach swoich Boy „używa” wszystkich błędów przeciw polszczyźnie, wytykanych przez Kryńskiego i innych naszych lingwistów”.

Słowem, cały dorobek Boy’a — ma być „tandetą intelektualną”.

Przy okazji dostało się i zwolennikom autora „Śmiechu i Zgrozy”: pp. Skiowskiemu, Krzywickiej, Winawerowi.

Irzykowski dużą część swoich rozważań poświęcił zagadnieniom „seksualnym”, które Boy „dopinguje” zainteresowanie dla swoich feljetonów. Okazuje się jednak, iż i w tej dziedzinie bywa zbyt prymi-



TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI.

tywny, „partaczy zjawiska”, mające podstawę w innych zupełnie wymiarach. Irzykowski wierzy bowiem, iż „wszelka krytyka i prawda należą do socjalizmu. Socjalizm niczego nie pomija(?) i niczego się nie obawia(?). Socjalizm nie jest sprawą bylejakiej większości, lecz sprawą ludzkości”.

Uogólnienia te rzucają snop światła na kryteria Karola Irzykowskiego, lecz... nie wyczerpują jego argumentów. Zapowiada on drugą jeszcze książkę pt. „Słoń w składzie porcelany”, która podejmie rozważanie tych samych zagadnień.

„Rzecz o Boy’u-Żeleńskim” w sferach literackich nie jest sensacją. Irzykowski od lat „dyskutuje” w ten sposób z „Benjaminskim” czytelnictwa polskiego! Dla „inteligentnych” jednak pań, panienek, wielbicielek „Zmysłów... Zmysłów” książka Karola Irzykowskiego może, istotnie, okazać się rewelacją. Przypuszczać należy, iż nie pozostawi jej bez odpowiedzi Boy, wróg „bronzownictwa”, zbyt „odbronzowiony” przez Irzykowskiego. Autor „Benjaminska” orzeka bowiem: „W bieżącym życiu literackim Polski jest Boy zjawiskiem ujemnym”.

E. Cz.

Zapiski bibliograficzne

DZIEŁA WYSPIAŃSKIEGO (Wydanie zbiorowe). Nakład „Biblioteki polskiej”.

Wyszły z druku tomy 7 i 8-my. Tom siódmy zawiera rapsody, parafrazy i wiersze. Tom ósmy — pisma prozą. Wydawnictwo, zawsze nacechowane tą samą starannością i powagą, a przez to — zadzi-

wiające w czasach dzisiejszych poziomem i godnością. Jeszcze nie jest tak źle, jeśli takie wydawnictwa pojawiają się na półkach księgarskich. I trzeba mieć nadzieję, że wszyscy ci, którzy noszą Wyspiańskiego w sercu, — i ci, co go mają wciąż na ustach, uznają zbiorowe wydanie dzieł poety za nieodzowną część składową każdej, chociażby najmniejszej polskiej biblioteki domowej, — tego wierne- go i kochanego towarzysza.

*

— Stefan Balicki wydał szkice z życia szkoły p. t. „Chłopcy”. Młody ten beletrysta zgromadził cykl portretów uczniów szkoły powszechnej. Są to dzieci Wielkopolski. Poznajemy się z nimi z zadowoleniem.

Opowieści śląskie

(Gustaw Morcinek: „Chleb na kamieniu”. Cieszyn, b. r. Księgarnia „Dziedzictwa”. Str. 204).

Nowy tom autora „Wyrąbanego Chodnika” jest zbiorem nowel i opowieści śląskich o treści dość różnorodnej, miejscami świadczącej jakby o dokonywującym się w psychice pisarza przełomie. Wiodące to głównie w opowieści pt. „Sześć dni”, gdzie postawa autora, któremu dotychczas nawet zarzucać można przerost sentymentalizmu, nabiera chwilami aż piołunowej goryczy. Jeszcze wyraźniejszy pesymizm przebija z noweli o „Piernikowym sercu”. Natomiast powiastka wigilijna „Miód w sercu” i reportażowa opowieść „Na Bieda-szybie” zaprawione są znowu właściwym autorowi optymizmem. Znamienna tu jest uwaga Morcinka, że nie głód jest groźny, lecz brak pracy. W „Chlebie na kamieniu” i „Ciszy” powtarzają się znane z poprzednich utworów autora szkice z życia w kopalni, w którego opisach, opartych na bezpośrednich przeżyciach i obserwacjach, dał już Morcinek najcenniejsze karty swej twórczości. Znana już z dawniejszego wydania legenda śląska o „Ondraszkowych ostatkach”, napisana z wyjątkową werwą, nawet w rytmice prozy ma charakter wybitnie poetycki. Dużym wdziękiem i dobrem wczuciem się w przeszłość historyczną odznacza się legenda skoczowska o „Burmistrzance Gryzeldzie”. W całości tom ten świadczy o nowych i rozległych możliwościach rozwojowych u autora, którego twórczość dotychczasowa grzeszyła poniekąd jednostajnością.

K. Cz.

Nowości angielskie

Nowy tom studjów krytycznych utalentowanej powieściopisarki angielskiej Virginji Woolf nosi tytuł „Second Common Reader” i jest dla cudzoziemca ciekawym wprowadzeniem we współczesną historję literatury angielskiej.

*

Nowa książka Willi Cather, pisarki amerykańskiej, najlepszej prozatk Ameryki, składa się z nowel o losach przeciętnych i niesławnych egzystencji ludzkich i nosi tytuł „Obscure Destinies”.

*

Nowa książka Ernesta Hemingwaya „Death in the afternoon” różni się bardzo od poprzednich dzieł tego świetnego pisarza; omawia ona psychologję walki byków w Hiszpanji.

LAUREAT-SAMOTNIK

Literacką nagrodę państwową na rok 1932 otrzymał Wacław Berent za niewydaną jeszcze powieść „Wywłaszczenie muz”, której fragmenty drukowane były na łamach czasopism.

Wacław Berent, jako pisarz, a zwłaszcza jako człowiek jest do pewnego stopnia legendą. Nawskroś indywidualna jego twórczość, ukształtowana częściowo na filozofii Nietschego, nie zdobyła sobie popularności wśród szerszych warstw czytelników. Jest on raczej pisarzem wybranych, smakoszy literatury, sprawiającym i tym niejednokrotnie sporo kłopotu, by z łuski pięknego słowa, wydobyć ważne jądro głębokiej myśli.

W życiu osobistym Berent odseparował się murem samotności, nie udzielając się nikomu, nie wpisując swego głośnego nazwiska na listę żadnego ugrupowania literackiego. W całej pełni zrealizował ibsenowski aforyzm „Silnym jest tylko człowiek samotny”. O wszystkich niemal naszych współczesnych pisarzach wiemy bardzo wiele. Berenta mało kto na oczy widział. Każdy kulturalniejszy czytelnik zna w ogólnych zarysach biografię tego, czy innego pisarza, może przytoczyć charakterystyczne szczegóły, a nawet anegdoty o nim. Co do Berenta, poza tytułami jego powieści, nic nie potrafi powiedzieć.

Jest wprowadzić dość dużą literaturę krytyczną, związaną z twórczością Berenta — lecz ta zajmuje się nim tylko jako pisarzem. Człowiek jest dla ogółu tajemnicą, do której klucza szukać można wyłącznie wśród kart jego dzieł. Nawet najbliżsi przyjaciele Berenta, a jest takich kilku, na wszelkie pytania odpowiadają:

— Skoro on nic o sobie nie chce powiedzieć, jakżeż my możemy o nim mówić?...

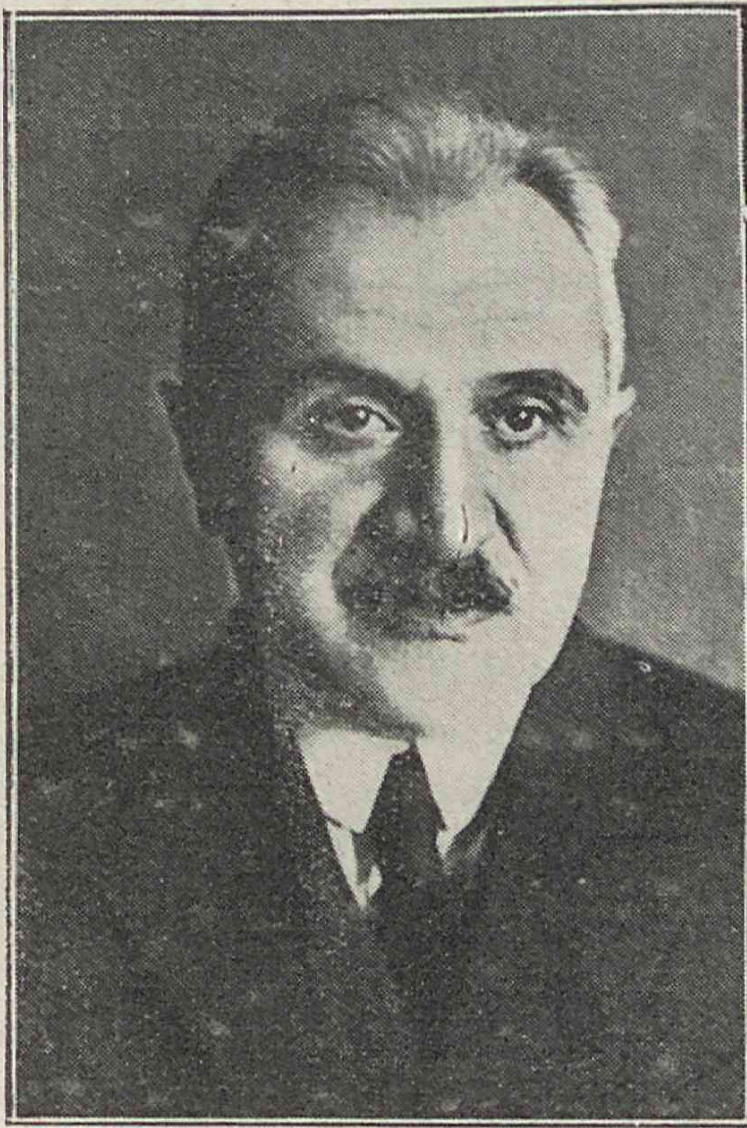
Jest w tem twierdzeniu duża doza słuszności i delikatności. Lecz opinia publiczna, zwłaszcza ta kulturalniejsza, dla której nazwisko Berenta nie jest pustym dźwiękiem, chciałaby coś więcej wiedzieć o znakomitym pisarzu. Zarówno jednak pracownia Berenta jak i jego mieszkanie są niedostępne dla niewtajemniczonych. Przypominają one laboratorium średnio-wiecznych alchemików, z tą tylko różnicą, że tam bezskutecznie szukano kamienia filozoficznego, a tu powstają klejnoty szlachetnej i pełnowartościowej myśli filozoficznej.

Samotnictwo i jakgdyby obawa przed ludźmi, sprawiły, iż nawet oficjalne biografje Berenta ograniczają się do lakonicznych komunikatów. Mieszkał przez lata w Niemczech i Paryżu, obecnie przebywa w Warszawie, w r. 1929 otrzymał

nagrodę literacką m. Warszawy. To wszystko.

Dlatego też właściwego, a raczej zbliżonego do rzeczywistego oblicza Berenta, jako człowieka, trzeba szukać w jego dziełach. Trzeba szukać uważnie i drobiazgowo, bo częstokroć wizerunek, który błyska przez misterną tkaninę prześlicznej prozy, nie jest jego odbiciem. Raczej tych ludzi, jakichby chciał widzieć i mieć dokoła siebie. Najcharakterystyczniejszym jest może fragment z listu Berenta, pisanego swego czasu do redaktora „Chimery”, Zenona Mirjama Przesmyckiego:

„Roli niewczesnego proroka czy sekciarza, pośród swojskich snobów, ciekawych



WACŁAW BERENT

nowostek a gnuśnych myśla, powstydzilbym się równie szczerze jak zawodu niewolniczego kopisty jakichbądź katechizmów: prastarych buddyjskich, czy też najnowszych, dzisiejszych katechizmów dziennikarsko-obywatelskiej moralności”...

I ktokolwiek spojrzy w zadumaną, ironicznie uśmiechniętą twarz Berenta, nawet znając ją jedynie z fotografii, zrozumie, że deklaracja niniejsza nie jest frazesem literackim, lecz istotną treścią pisarza-człowieka. Tu autor „Próchna” odsłania sam siebie i określa dokładniej od najbardziej drobiazgowego wywiadu dziennikarskiego, w którym nie zapomniano o desenie tapet, kształcie biurka przy którym pracuje i kolorze krawatu.

Przez kilkadziesiąt lat Berent idzie własną drogą, w której towarzyszy mu mądra i wszystko umiejąca zrozumieć samotność. Odrzuca z pogardą godność „niewczesnego proroka”, a tembardziej nie ma zamiaru kopjować „jakichbądź katechizmów”. We własnej duszy stworzył świat własny, w którym niepotrzebni są

mu ludzie wczorajsi, a tembardziej dzisiejsi.

Przestudjowawszy wszystkie dzieła Berenta, a przede wszystkim „Próchno”, trudno sobie wyobrazić możliwość współżycia samotnika ze współczesnością, jego udziału w wartkim potoku zdarzeń, tej czy innej reakcji, właściwej olbrzymiej większości ludzi piszących. Filozofję samotności odziedziczył po wielkim swoim nauczycielu, Fryderyku Nietschem, i zastosował ją w swoim zarówno artystycznym, jak i prywatnym życiu. Nie przejął może tylko tego straszliwego pesymizmu i niewiary, bo nie traci nadziei w ozdrowienie chorej psychy ludzkiej drogą duchowego samopoznania i uwolnienia się od trucizny myśli „o sobie samym”, które skruszyć są w stanie najsilniejsze nawet indywidualności i zamienić je w próchno. Jednakże przez lata obserwacji i całkowite oderwanie się od płynności życia, rozróżnia dwa rodzaje próchnicy. Tej, która zamienić może się w urodajną glebę i wychować w swem łonie bujne, nowe i pełno wartościowe życie i próchna przysypanego piaskiem, na którym rozsiać się tylko może bezlitosna i wszystko niszcząca śmierć.

Dzięki tej koncepcji pisarz-samotnik zbliżył się mimowoli do współczesności. To bowiem, co pisał przed laty trzydziestu, nie było tak jasne i zrozumiałe, jak dzisiaj. Berentowska dwugatunkowość próchna nie znajdowała tych możliwości aklimatyzacyjnych, jakie obecnie stworzyła dziejowość. Kształtują się one dopiero teraz.

Mniejwięcej to samo zjawisko obserwujemy i z innemi, znacznie późniejszymi dziełami, nie wyłączając „Wywłaszczenia muz”. Dopiero z perspektywy lat poznać będziemy mogli rozumną logikę kroków, którymi samotny, zdala od ludzi i zasłuchany w głosy sobie tylko wiadome, przemierzał twórczą drogę swojego życia. Do jakich celów i źródeł ścieżka ta prowadziła? Może sam o tem powie? Może odbije ją w lustrze rzeczywistości przyszła historia świata i ludzi, którą życie ustawicznie pisze, znajdując stosunkowo mało umysłów, umiejących podpatrywać, opierać się nurtującym prądom i nie pozwalających się im porywać.

Nagrodzenie Wacława Berenta najwyższym państwowym odznaczeniem w Polsce, jest w każdym razie najlepszym dowodem, że głos samotności, jest jednak głosem mocnym i znajdującym oddźwięk przede wszystkim tam, gdzie znaleźć powinien — w historii kultury naszej i naszego twórczego dorobku.

Jan Sokolich-Wroczyński



Pan Bumke jedzie do Ameryki

(N O W E L K A)

Od trzydziestu lat w małym miasteczku Cuxhaven pan Bumke prowadził małe przedsiębiorstwo. W pięćdziesiątym roku życia wycofał się zupełnie z interesów, żyjąc z niewielkiej renty, która jednak na jego skromne potrzeby zupełnie wystarczała. Nie miał żony, ani dzieci, nie utrzymywał stosunków z kobietami. Miał tylko jedną namiętność: podróż. Namiętność ta, niestety, pozostawała ciągle w dziedzinie marzeń, które się nie urzeczywistniały; samo jednak fantazjowanie o podróżach dawało dużo zadowolenia panu Bumke. Najchętniej czytywał książki podróżnicze i dzienniki, w których rozpisywano się o przygodach rozmaitych wielkich podróżników. Ten dobroduszny człowiek, przyzwyczajony przez całe życie do sprzedawania fil de cosse'owych skarpetek i pończoch z podwójnymi stopami, znał tak dobrze wodospady Zambezi, jak sam Stanley, a tajemnice Czarnego Łądu, jak Livingstone. Nigdy nie zdarzyło mu się myśleć, że Birma jest jakąś skórną chorobą, a nazwa Yang-Tse-Kiang — marką herbaty. Nawet sam kapitan handlowego okrętu, którego żona zamieszkiwała w Cuxhaven, nie mógł się poszczycić większą znajomością geografii.

Gdy pan Bumke wycofał się z interesu, przyszło mu pewnego dnia na myśl, aby wynaleźć sobie jakąś oberżę w sąsiedztwie, ale tylko taką, w której zbierali się marynarze. Po długich rozmyśleniach wybór jego padł na małą gospodę, której stałymi gośćmi byli marynarze Północnego Lloyd. Rozmowy, prowadzone w oberży, zajmowały do tego stopnia pana Bumke, że począł tam coraz częściej zaglądać. Zaprzyjaźnił się z gospodarzem i codziennie około szóstej wieczorem można go było spotkać w oberży przy kieliszku wódki. Wkrótce marynarze ogromnie polubili pana Bumke. Zaskarbił sobie ich serca niezwykłą dobroduszością i tem, że częstował wszystkich tytoniem.

— Dobry chłop z tego starego! — mówili.

Szczególnie zaprzyjaźnił się pan Bumke z jakimś Alfredem, stewardem okrętu „Elżbieta”, i za każdym razem, kiedy Alfred wracał z podróży, pan Bumke z radością przybiegał do gospody, aby jak najprędzej usłyszeć o przygodach przyjaciela.

Pewnego dnia rzekł Alfred do pana Bumke:

— Czy naprawdę nigdy jeszcze stopa pańska nie dotknęła pokładu żadnego okrętu? Gdy się słucha pańskich opowiadań, ma się wrażenie, że objechał pan cały świat.

— Ach nie, — westchnął pan Bum-

ke. — Jedyńą moją podróżą, jaką odbyłem, była podróż z Cuxhaven do Hamburga.

— Musi pan się kiedyś zdobyć na to, aby pojechać do Ameryki.

— Sądzi pan, że mogę sobie pozwolić na to, aby wydać tysiąc marek?

Alfred przyjrzał się uważnie panu Bumke i rzekł po krótkiej chwili:

— Ale cokolwiek dałby pan za to, żeby zobaczyć New York?

— Ach, przyjacielu drogi! — krzyknął pan Bumke i uczynił taki ruch, jakby go nagle król zaprosił do swego pałacu.

— Słuchaj pan, — ciągnął dalej steward, — w przyszłą sobotę o drugiej „Elżbieta” odpływa na pełne morze. Niech pan przyjdzie do portu o dziesiątej rano. Podczas ładowania skrzynek z alkoholem wpuszczę pana pokryjomy na okręt i ukryję w kajucie prowiantowej. Jak tylko wypłyniemy na morze, wszystko pójdzie gładko. W New Yorku wyjdzie pan na ląd, przepędzi pan tam dziesięć dni, poczem zgłosi się pan również pokryjomy na okręt i wrócimy tutaj. Nie poniesie pan wielkich kosztów, tylko mnie za całą tę historję da pan pięćdziesiąt marek.

Targ szybko został ubity. Podniecony perspektywą przepędzenia ośmiu dni na otwartym morzu pan Bumke nie zmrużył oka tej nocy. Pełen niepokoju z małym zawiniątkiem pod pachą zjawił się o umówionej porze w przystani, oczekując z bijącym sercem znaku przyjaciela Alfreda. Wreszcie steward skinął nań, otworzył drzwi kajuty prowiantowej, z której buchnęła woń korków, wosku i alkoholu i rzekł:

— Teraz trochę cierpliwości. Dopóki nie wypłyniemy na pełne morze, nie wolno panu stąd nosa wytykać. Gdyby pana znalazł płatniczy, zamknąłby pana, jako ślepego pasażera, a ja wyleciałbym natychmiast z posady.

Godziny mijały. Pan Bumke, siedząc na skrzynce z winem, przysłuchiwał się przygotowaniom do odjazdu. Zgrzytanie śrub, skrzypienie windy, wycie syreny. Wreszcie dzwonek, zwiastujący odjazd, nawoływania marynarzy i warkot puszczonej maszyny... „Elżbieta” płynie w kierunku wybrzeży Nowego Świata.

Około dziewiątej wieczorem pan Bumke usłyszał szmer otwieranych przez Alfreda drzwi. Biedak westchnął z ulgą. Z radością wyobraził już sobie, jak przyjemny będzie krótki spacer po pokładzie. Poza tem głód stawał się coraz bardziej dokuczliwy.

— Przyjacielu, — rzekł steward przyciszonym głosem, — wyjść pan w żaden sposób nie może. Płatniczy obchodzi ca-

ły okręt. Ma pan tutaj kawałek sera, chleb i butelkę piwa. Musi się pan tu jakoś ulokować na noc i owinać pledem, aby panu możliwie ciepło było.

Pan Bumke, trochę rozczarowany, zjadł chleb z serem i popił piwem. Na skrzynkach z winem przepędził bezsenność i przez następne cztery dni nie wychodził ani na chwilę z kajuty prowiantowej.

Pewnego wieczoru, gdy już okręt zbliżał się do wybrzeży Ameryki, Alfred otworzył drzwi i pozwolił panu Bumke wyjść na górny pokład, by tam, ukryty w łodzi ratunkowej, zaczerpnął trochę świeżego powietrza. Był to jeden jedyny raz, kiedy pan Bumke odetchnął powietrzem morskiem. Po pół godzinie jednak steward zamknął swego pasażera znowu i więcej mu już wyjść nie pozwalał. Gdy zawinięto do portu, pan Bumke nieśmiało zapytał swego opiekuna, kiedy mu wolno będzie wyjść na ląd i obejrzeć miasto.

— Nic panu nie mogę obiecać, — odparł Alfred. — Policja portowa strzeże wszystkich wyjść bardzo dokładnie w pogoni za szmuglerami alkoholu. Mógłby pan być narażony na wielkie niebezpieczeństwo i nawet mogłoby panu grozić kilkumiesięczne więzienie.

Nie chcąc zawierać znajomości z amerykańską policją, pan Bumke wolał już pozostać w swej kajucie prowiantowej, w której przepędził dalsze dziesięć dni. Potem przesiedział tam osiem dni drogi powrotnej, aż wreszcie okręt dobił do przystani miasteczka Cuxhaven i panu Bumke pozwolono wreszcie wyjść na ląd. Podczas podróży nabawił się biedak reumatyzmu i krzyż go bolał nieznośnie. Poza tem zapłacił Alfredowi pięćdziesiąt marek za tę przyjemność. Gdy wieczorem po powrocie położył się do swego wygodnego łóżka, w którym po raz pierwszy od dwudziestu sześciu dni mógł się swobodnie wyciągnąć, z piersi jego dobyło się głębokie westchnienie ulgi.

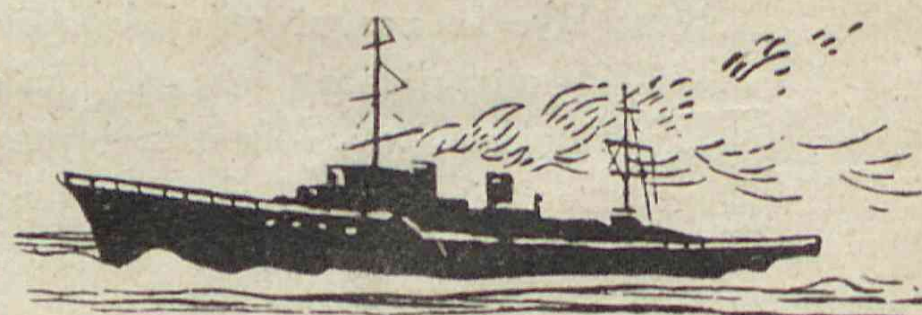
*

Upłynęło sześć miesięcy od owej pięknej podróży. Pan Bumke znów był codziennym gościem w gospodzie „Pod szczęśliwą podróżą”. Niejednokrotnie towarzysze przy stole opowiadali całymi wieczorami o pobycie swym na kontynencie amerykańskim. Pan Bumke w takich razach nieco podniesionym głosem i tonem pewnym siebie również wtrącał się do rozmowy, rozpoczynając zazwyczaj:

— Gdy jechałem do Ameryki...

Przekład

Janiny Zawisza Krasuckiej



W PRACOWNI GRAFOLOGA

Pismo ręczne — nieubłagany zdrajca

O ileż mniej byłoby przestępstw, gdyby ludzie nie umieli pisać! Wynaleziono klucz do ludzkich umysłów, ale są jednostki, które klucz ten obracają na cudzą szkodę.

Treść wokand sądowych wskazuje, że ręka, posiadająca sztukę pisania, wystawiona jest na bardzo silne pokusy. Wystarczy przecie drobnym ruchem ręki dorobić kółeczko, albo kreseczkę i można otrzymać za to ilość dobra ziemskiego, wymagającą wiele pracy, energii i czasu.

Falsz należy do kategorii przestępstw „inteligentnych”, to też wymiar sprawiedliwości musi w walce z nim posługiwać się wiedzą specjalną. Nie wystarczy już zwykła bystrość sędziowska, trzeba uciekać się do pomocy specjalisty, który lata całe poświęcił studjom nad grafologią, by poznać arkana różnic w wiązaniu liter przez poszczególnych ludzi i móc znaleźć cechy indywidualne i w tych wypadkach, gdy ktoś rozmyślnie zmienia charakter pisma. Niemniej precyzyjna, lecz już bardziej dostępna jest sztuka demaskowania przeróbek, podskrobań, wywabiania treści i t. d.

Oto znajdujemy się właśnie w sanktuarjum wiedzy grafologicznej, w gabinecie p. Henryka Kwiecińskiego, zaprzysiężonego biegłego



Gabinet grafologii i badania dokumentów p. H. Kwiecińskiego

sądowego w zakresie grafologii i ekspertyz dokumentów.

Uwaga gubi się między zagadkowymi instrumentami, z których najmniejszy — lupka Greicherta — może zmieścić się w naparstku, największy zaś — potężny epidjaskop — zajmuje całą stronę pokoju.

Ów epidjaskop to bardzo dowcipny przyrząd. Nie potrzeba fotogra-

fować badanego pisma, lecz odrazu wstawia się je w aparat, który rzuca wielokrotne powiększenie na ekran. Każde drgnięcie pióra, każda chropowatość rysuje się wielkimi wyrwami. Można powiększenie wzmocnić do tego stopnia, że kropeczka, jak łebek od szpilki, urasta do rozmiarów tarczy księżycy.

Prócz tego pomiędzy aparatami do powiększeń, lampami, świetlnymi aparatami do przerysowań, grafometrami, stereoskopami, kartotekami wzorów pisma — zwraca uwagę analityczna lampa kwarcowa, dziwny twór, który każdą rzecz widzi po swojemu.

Ten sam biały kolor na różnych arkuszach papieru wychodzi inaczej.

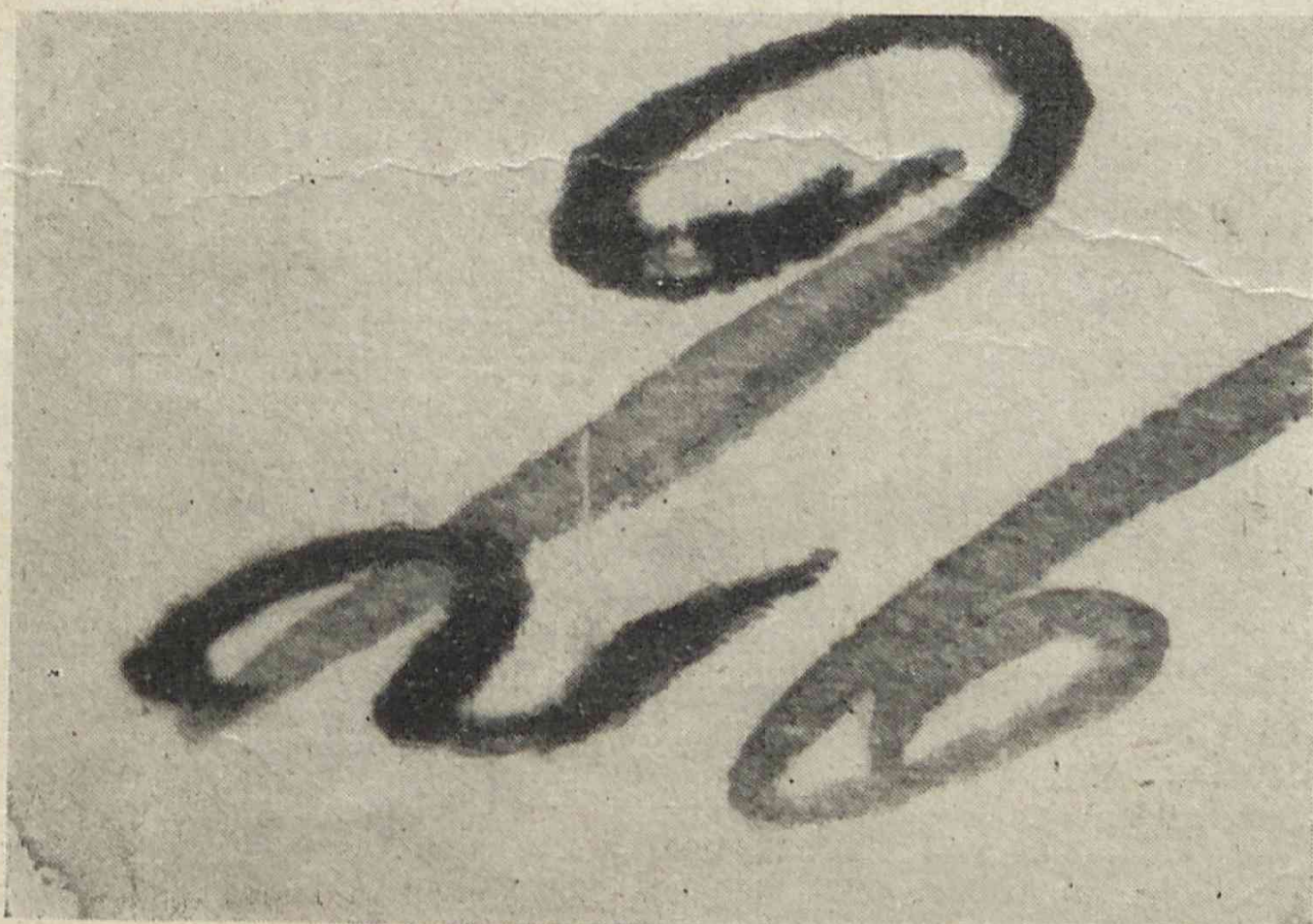
Uprzejmy gospodarz pokazuje mi kartkę, stanowiącą list o banalnej treści, pisany przez więźnia do żony. Przyglądam się bacznie: niesposób zauważyć czegokolwiek podejrzanego. Pod lampą wszakże, między linjami czarnego

pisma, występują metaliczną barwą litery sekretne atramentu. Zawierają pouczenia dla fałszywych świadków.

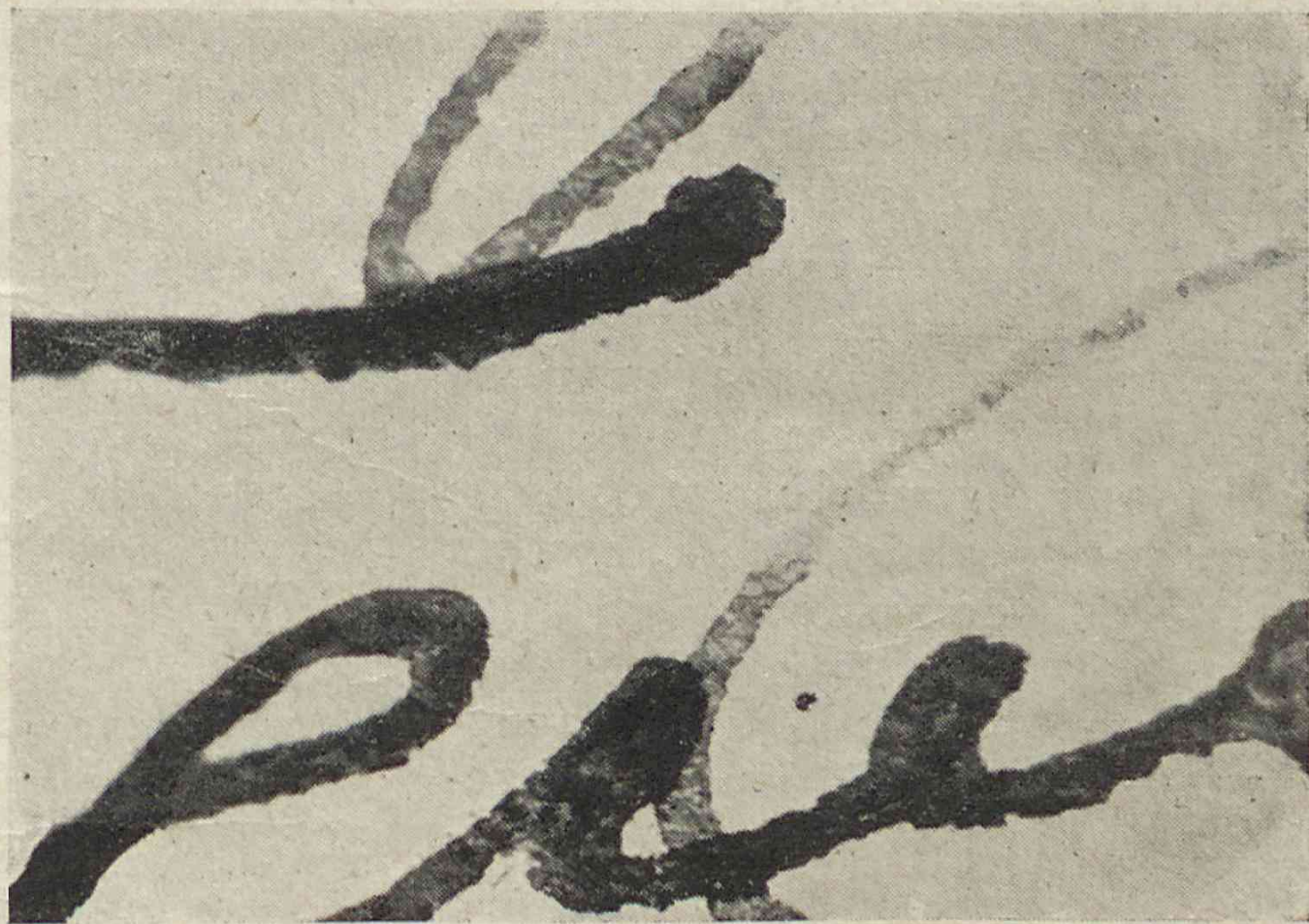
— Skąd więzień może mieć taki znikający atrament? — pytam.

— Na to nie potrzeba żadnych specjalnych płynów. Ten tekst na przykład pisany był moczem.

Rozpoczynamy pogawędkę na te-



Przerobiona liczba



Falsyfikaty pod lupą

Późniejsze pismo

mat grafologii, stanowiącej kwestję osobistego talentu badacza. Niema żadnego klucza do rozwiązywania zagadek pisma, niema szkół, kształcących w tej specjalności.

— Czy to prawda, że na podstawie pisma można określić stan zdrowotny autora?

— Rzeczywiście, istnieją takie choroby, jak delirium tremens, które odrazu w piśmie można rozpoznać w stu procentach. To samo paraliż postępowy. Ale ponadto można ustalać również na podstawie pisma, w jakim stanie psychicznym znajdował się autor w chwili pisania. Ma to szczególnie doniosłe znaczenie przy testamentach, gdzie występuje kwestja równowagi władz umysłowych testatora.

— Czy zamroczenie alkoholiczne też znajduje swój specjalny obraz w piśmie?

— W pierwszym rzędzie. Właśnie niedawno była rozpatrywana przez sąd sprawa, gdzie w charakterze poszkodowanego występował pewien oficer, od którego wyłudżono po pijanemu zrzeczenie się całego majątku. Ekspertyza grafologiczna potwierdziła zupełnie zeznania poszkodowanego. Oficer, w chwili podpisywania dokumentu, był niewątpliwie nietrzeźwy.

P. Kwieciński demonstruje następnie efekty powiększeń, które pozwalają na wykrycie przeróbek gołem okiem niewidocznych. Liczba 26, przerobiona z liczby 16, gołem okiem jest nie do zdemaskowania; w powiększeniu natomiast przedstawia się, jak nieudolna malatura. Dzięki powiększeniom można również ustalić kolejność pisma. Jeśli do treści dopisano później jakieś wyrazy, na powiększeniu widać wyraźnie, które linie są nawierzchu.

— Nabrałem szacunku do grafologii — oświadczam ostentacyjnie. — Do zobaczenia w sądzie.

— Zaraz, zaraz, możeby pan był łaskaw jeszcze wypełnić mój kwestjonariusz dla badań porównawczych, mam tu ich całe stosy: adwokaci, sędziowie...

Wypełniam więc kwestjonariusz o skomplikowanych rubrykach: pismo proste, pochyłe, specjalnie zmienione, na stojąco, tak, owak i tam nawet, gdzie siłę się na fałsz najbardziej perfidny, z żalem stwierdzam te same supelki, haczyki i wiązadełka, od których śnać ręka ludzka nie jest w stanie się wykipić.

Jan Drobniewski

Co się dzieje na Piccadilly?

(Korespondencja „Świata“ z Londynu)

W promieniu 100 metrów dookoła Piccadilly Circus, centrum Londynu, tłoczy się blisko setka teatrów, teatrzyków i kin; od południa do północy przewijają się tu dziesiątki tysięcy strojnej publiczności. Widowisko jedyne w swoim rodzaju: w porze lunchowej tworzą się już olbrzymie ogonki pod monumentalnym kinoteatrem amerykańskim „Empire”; niedość tego, pragnący ujrzeć najnowsze przeboje popularnej „musical comedy” muszą zajmować miejsce pod teatrem już o świcie; wyczekują swej kolejki, siedząc na składanych krzeselkach, ofiarowanych za drobną opłatą przez portjerów teatralnych. Nierzadko wyczekuje się tak 8 do 10 godzin.

Genjalną postacią w świecie teatralnym Londynu jest obecnie p. Charles Cochran, producent komedji muzycznych, na których zdobył zawrotną fortunę. Cochran czerpie właściwie swe natchnienie z Ameryki, wyznając zasady wyłącznie handlowego traktowania przedsiębiorstw teatralnych. To też nagina się chętnie do niewybrednych gustów, ale zato zdobywa się na wręcz wspaniałą, olśniewającą bogactwem wystawę i organizację swych imprez. Stąd sukces zapewniony. Tak np. przez 403 wieczory nie schodziła z afisza rewja „Cavalcade”, będąca obrazową historją W. Brytanji, od wojny boerskiej do czasów obecnych. W rewji tej przewinęło się 1260 przepysznych kostjumów, a wpływy kasowe każdego wieczoru wynosiły przeciętnie 20 tysięcy złotych. I tak przez 403 wieczory z rzędu. Rewja zeszła z afisza dopiero teraz i to tylko po to, by zatryumfować po drugiej stronie Atlantyku. Cochran otrzymał bowiem ofertę wystawienia „Cavalcade” w Nowym-Yorku, na Broadway’u, a równocześnie wytwórnie filmowe Hollywood’u przystąpiły do jej przeróbki filmowej.

Po „Cavalcade” największym sukcesem cieszy się świetna komedja w teatrze „Garrick” pt. „Gdy rodzice śpią”. Akcja bawi publiczność do rozpuku. Wkrótce wchodzi na afisz oryginalna komedja, będąca parodią życia Szerloka Holmesa; tytuł jej brzmi: „Holmes z Baker Street” (nazwa ulicy w Londynie, na której mieszkał legendarny detektyw). Przedstawiony jest on jako wdowiec na łonie życia rodzinnego. W domu panuje całkowita swoboda dyskusyj. Tylko jeden temat jest surowo zakazany: nie wolno wspomnieć o... zbrodniach.

Sensacyjna ostatnia sztuka Edgara Wallace’a p. t. „Sprawa przestraszonej damy” (The Case of the frightened lady”, ciesząca się szalonym powodzeniem przez szereg miesięcy, „odpływa” obecnie również do Nowego-Jorku i wystawiona będzie w nowojorskim „Belasco Theatre”. Wdowa po Edgarze Wallace oświadczyła w wywiadzie prasowym, że w tece zmarłego znajduje się nadto rękopis, zawierający „libretto” do egzotycznej „musical comedy”, zatytułowanej „India”.

Dzielnica teatralna Londynu posiada również sporą ilość teatrzyków wodewilowych, t. zw. „Non stop-theatre”. Są to dosłownie teatry grające bez przerwy. Wystawiają w nich barwne rewje, przeważnie po 20 numerów, po cenach dostępnych dla szerokich mas, poczynając już od 12-ej w południe. Nawet teatry, posiadające

piękną tradycję, odnajdują obecnie swe gmachy przedsiębiorcom wodewilowym. Np. tak ceniony teatr, jak „Prince of Wales” zamienił się na takie „non stop-revue”, który przez cały dzień ściągają tysiące na popisy głośnego baletu Raimonda; w „Pavilion” znów występują słynne gwiazdy rewjowe, importowane z Paryża.

A sztuki poważne, a dramaty szekspirowskie? Brzmi to nieprawdopodobnie, ale ojczyzna Szekspira nie przejmując się zbyt, poza zamkniętym kołem miłośników dramatu szekspirowskiego, arcydziełami scenicznymi autora „Hamleta”. Jedynym i chlubnym wyjątkiem w Londynie jest położony w ubogiej dzielnicy proletariackiej teatr-świątynia Szekspira. W nadchodzącym sezonie teatr ten wystawia „Kupca weneckiego”.

Narazie, miejsce Szekspira zajmuje... Bernard Shaw, którego znana u nas sztuka „Zbyt prawdziwe, by było dobre” wchodzi właśnie na deski sceniczne teatru, w którym sła dotąd szekspirowska „Dwanaście Noc”. To też w kołach teatralnych Londynu mówią, że Shaw ruguje Szekspira...

L. Char.

Zdziwienie Mr. Skinnera

Pewien sympatyczny James Skinner zalił mi się któregoś dnia, że w pewnym domu, bardzo zresztą miłym, częstowano go jakimś przykremi papierosami. Nie winne półzapytanie czy to są papierosy krajowe, potwierdzono bezapelacyjnie. Mr. Skinner jest bardzo zdziwiony. Bawi w Polsce od kilku tygodni, pali nasze papierosy i dotychczas nic im nie miał do zarzucenia. Nie przypuszczał, aby w tym domu palono specjalnie niskie gatunki tytoniu. Zaciekawiony spostrzeżeniem Mr. Skinnera, wypytałem go szczegółowo o wygląd tych papierosów. Zagadka była łatwa do rozwiązania. Poprościu gościa naszego poczęstowano papierosami t. zw. typu rosyjskiego, nie znanego na zachodzie Europy. Aczkolwiek liczba zwolenników tych papierosów maleje z roku na rok, przecież jest ich jeszcze sporo. Oprócz ustnika, który jest jedną cechą papierosa typu rosyjskiego, różni się on jeszcze gatunkiem bibułki. Na zachodzie Europy, w Ameryce i innych częściach świata w powszechnym użyciu znajdują się papierosy o bibułce samospalającej się (nasze „Płaskie”, „Egipskie”). Bibułka ta prędzej spala się od tytoniu, toteż dym z tych papierosów pozbawiony jest całkowicie produktów spalania się papieru, t. j. bibułki. Natomiast przy papierosach typu rosyjskiego, używana jest bibułka parafinowana lub glicerynowana (przezroczysta), która wolniej spala się od tytoniu. Toteż żarzenie się jej powodowane pracą płuc palacza, który wraz z dymem tytoniowym nolens volens wchłania dym z papieru.

Nie wiedział o tej różnicy Mr. Skinner, i dlatego dziwił się, że niektóre gatunki naszych papierosów bez względu na cenę są dobre, inne zaś mimo najwyższych cen zawsze niesmaczne. Gdy mu wytłumaczyłem na czem to zjawisko polega, długo kręcił głową, dlaczego ludzie dobrowolnie psują smak papierosów.

S. K.



Główni bohaterowie sztuki: promieniująca wdziękiem Lindorfówna i świetny w ekspresji Węgrzyn.



W roli ojca — znakomity Junosza-Stępowski. Dziewczyna i parobek — Żeliska i Dominiak.

Fot. J. Malarski

Świat teatru

Nowa sztuka Szaniawskiego w Narodowym

Premjery Jerzego Szaniawskiego mają swoje specjalne oblicze. Zbiega się na nie ta najlepsza część kulturalnego społeczeństwa stolicy, która interesuje się twórczością naszych pisarzy. Obraz premierowej widowni „Mostu” w dużym stopniu przypominał charakter przedwojennych premier Teatru Rozmaitości, które z reguły były wydarzeniami dnia. Ta sama gorączka zaciekawienia na twarzach, przykładna cisza podczas aktów, te same gorące oklaski po każdym zapadnięciu kurtyny. Dobrze wróżby zwycięstwa.

Nowa sztuka Szaniawskiego daje wielką satysfakcję prawdziwie kulturalnemu widzowi: pisana jest wyborną techniką urodzonego dramatysty, — techniką umiejętnego stopniowania efektów i celowego nasycania wydarzeń scenicznych coraz nowymi horyzontami myślowymi. Pozornie, gdy sztuka się zaczyna, powiewa ku nam od fryczowego, nadrzecznego dworczyusza jakaś jakby niedzisiejsza melodia motywu skandynawsko-heyermansowskiego. Ale w miarę dalszego rozwoju

akcji, z aktu w akt, od sceny do sceny, ubogacają się motywy, uwspółcześniają zagadnienia, charaktery rozwijają się w głąb i wszerz, stają się nam coraz bliższe, zrozumialsze, dzisiejsze. Sugestywny czar — skąpego zresztą — słowa Szaniawskiego, niepokojący w akcie I niesamowitym tokiem zagadkowej akcji, już w połowie aktu II-go, w kapitalnie pomyślanej, wybitnie teatralnej scenie zmagania się człowieka z żywiołem pędzącej kry lodowej (piękny obraz sceniczny!) bierze nas całkowicie w posiadanie, by w potężnym akcie III-im (jednym z najlepszych, jakie Szaniawski napisał) w końcowej scenie tryumfu „idei obrony praw państwa” — uderzyć w zelektryzowaną widownię wstrząsem wielkiego wzruszenia.

Nie dziw, że po tym potężnym akordzie finalnym oklaski porwanej widowni premierowej zamieniły się w nieorganizowany, żywiołowy entuzjazm całej sali pod adresem świetnego pisarza. Duża część tego entuzjazmu przypadła czujnie przez Karola Borowskiego zestrojonej kapeli wykonawczej, złożonej z tak świetnych instrumentów aktorskich, jak — Zofja Lindorfówna, Józef Węgrzyn, Kazimierz Junosza-Stępowski, Wojciech Brydziński, Franciszek Dominiak, a z najmłodszych — panna Alina Żeliska.

Po tołstojowskim „Iwanie Groźnym”, po „Weselu” Wyspiańskiego i Bernardzie Shaw — czwarty to z kolei wieczór teatralny, godny prawdziwie Teatru Narodowego.

Operetka, która wie, czego chce

Nareszcie, trochę mężczyzn na scenie! Pięknych, eleganckich mężczyzn... Za to — żadnych chórów. Żadnych girlsów. Żadnego „kwiatu szlachty francuskiej”. Czysta robota...

Ale to nie wszystko, czem zaleca się nowa komedia muzyczna, wystawiona w „Teatrze 8.30” przy ul. Mokotowskiej.

Jest bo tam jeszcze: niezłe libretto (Verneuil), smaczny bez Kasy Chorych dialog, w miarę sentymentalna muzyka (Oskar Strauss), z prawdziwego zdarzenia dyrygent (Mueller), tenor (Wawrzukowicz) i wodewilista (Ruszkowski), solidnie ozdobne wnętrza (Norblin!), no i — *great attraction* widowiska — dwie wybrane, urodziwe śpiewaczki: Makowska (piękne lato) i Brochwiczówna (śliczna wiochna)...

W teatrze pełno. Julian Krzewiński i L. Brodziński, wystawiając „Kobietę, która wie czego chce”, dowiedli, że wiedzą, czego chce kobieta, t. j. publiczność.

20-lecie Teatru Polskiego w Warszawie



Dyrektor Arnold Szyfman, stojący od początku istnienia „Teatru Polskiego” na jego czele, obchodził 20-letni jubileusz pracy jednocześnie ze swoim teatrem.

PLACÓWKA TEATRALNA NA WOŁYNIU

Wojewódzki teatr wołyński został zaszczytnie wyróżniony przez komisję ministerjalną — za owocną pracę kulturalną — w bardzo trudnych warunkach.

Istotnie ta placówka teatralna na Kresach Wschodnich rozwija działalność swą w niezwykle trudnych warunkach.

— Co dwa tygodnie dajemy premierę

— opowiada energiczny kierownik wołyńskiego teatru p. Aleksander Rodziewicz, — a przygotowywanie sztuki odbywa się w następujący sposób: Gramy sztukę ze dwa razy w Łucku, a następnie udajemy się w objazd: Równe, Dubno, Krzemieniec, Zdobunów, Kostopol, Ołyka — oto nasza trasa. W bieżącym sezonie rozszerzyliśmy działalność i na Lubelszczyznę. Docieramy aż do Zamościa i Chełma... W ubiegłym roku podróżowaliśmy autobusami, ale ponieważ ten rodzaj lokomocji w zimie połączony był z niebezpieczeństwem życia, więc obecnie jeździmy koleją... W wagonach zespół uczy się ról, a po przyjeździe do Łucka, kiedy role są już pamięciowo opanowane, robimy 5—6 scenicznych prób i premiera gotowa. Dokładamy maximum wysiłku, aby przedstawienia były na artystycznym poziomie... „Szczęście od jutra”, „Chory z urojenia”, „Sędziowie” — zyskały pełną aprobatę publiczności, a spektakl „Sędziów” otrzymał nawet wyróżnienie komisji ministerjalnej... Nie łatwo jest dobierać repertuar na takiej kresowej placówce. Trzeba dawać rzeczy wybitnie interesujące, aby przyzwyczaić wołyńską publiczność do polskiego słowa literackiego, aby ją wciągnąć do teatru.

— Jakie plany ma pan dyrektor na przyszłość?

— W najbliższym czasie przygotowujemy „Mademoiselle” Devala, przyczem w roli tytułowej wystąpi gościnnie znako-

mita artystka Stanisława Wysocka. W zespole mamy cały szereg sił wartościowych. Wymienię Helenę Krzywicką, Aleksandrę Królikowską — prawnuczkę słyn-



Aleksander Rodziewicz

nego tragika, Okońską, Burbiankę, Sławińską, Wacława Malinowskiego, Stanisława Żeleńskiego, Leszczyńskiego. Pracujemy ciężko — bardzo ciężko — mieszcimy się w Łucku razem z kinem miejskim, co nam wielce utrudnia odbywanie prób. Ale jesteśmy zadowoleni, ponieważ udało się nam teatrem polskim zainteresować nie tylko Polaków, ale także ludność żydowską i rosyjską. Troskliwa opieka wojewody Józewskiego ułatwia nam w znacznej mierze wytrwanie na posterunku.

J. Mig.

FERTNER ROBI MUSTRĘ



Fot. J. Malarski

Jedna z tych scen w „Uśmiechu Hrabiny”, które co moment wywołują burzę oklasków przy podniesionej kurtynie. „Porucznik” Wesołowski pokazuje „kantonikowi” Fertnerowi, jak się odbywa „mustra kawalerska”. Fertner gra ten epizod z takim ciepłem i z taką brawurą, jakiej dawno teatr nie widział. Wybornie sekunduje mu Wesołowski, tak uroczy w mundurze oficera, że najzagorzalsze pacyfistki wychodzą z przedstawienia, jako zdecydowane zwolenniczki armji.



W domu pisarza, który nie może tworzyć bez atmosfery kawiarnianej.

„Das Leben”



Biała szata, w którą spowiła się ziemia, szklista tafla lodu, dobrze ubite tory saneczkowe, wszystko to woła jednym głosem: „Czekamy na was, miłośniczki nart, ślizgawki, przejażdżek saneczkami, na was, tęskniące do ruchu po trudach pracy biurowej i na was, piękne panie, które się nudzicie!”

Że apel ten nie pozostał bez echa, wiemy o tem dobrze. W Zakopanem, Krynicy, Worochcie, a nawet na Bielanach

warszawskich zaroilo się od ciemnych punkcików, mknących po śnieżnej bieli.

Zilustrujmy krytycznym okiem stan kostjumu narciarskiego i tych wszystkich nieodłącznych akcesoryj, czy stoją na wysokości zadania.

Obawiam się bowiem, że niejedno trzeba będzie zmienić, bo moda swój wściubski nosek i do sportów wtrąca. — A, jak wiemy dobrze, nie kieruje się tylko względami natury praktycznej.

Linja kostjumu narciarskiego nie zmieniła się zasadniczo. Materiał, jak ubiegłych lat, — impregnowana wełna albo jersey (ever dry) impregnowany. Spodnie natomiast trochę węższe i krótsze. Nie powinny sięgać kostek. Kolory przeważnie ciemne, już choćby dlatego, żeby sylweta wydawała się szczuplejsza. Zresztą barwy granatowa, czarna, bronzowa mają tę wyższość nad jasnymi, że pozwalają na większe urozmaicenie kolorowe towarzyszącym kostjumowi szczegółom.

Wpływ obecnej mody, który — jak to widzimy w sukniach — jest pod znakiem akcentowania górnej części sylwety, daje się także zauważyć i w kostjumie narciarskim.

Obok klasycznej kurtki z gabardyny ujrzymy obcisłe bolerka, kamizelki z rękawami, zapięte na dwa rzędy metalowych guzików, które nas przeobrażają w lift boy'ów, albo tyrolskie szelecзки, przymocowane do spodni.

Zobaczmy również trykotowe w kratę szkocką sweterki. Jednakże krata nie powinna być za duża, gdyż po pięciu minutach nie będziemy mogli na nie patrzeć.

Wełniane skarpetki, wyłogi rękawiczek, czapeczka — tworzą barwną plamę na ciemnym kostjumie i tu dopiero jest wielkie pole dla okazania inwencji.

Nie radziłabym wprowadzać białego koloru, wyda się bowiem zawsze brudnym, gdyż ze śniegiem największa białosc nie może rywalizować. Natomiast wszystkie tony żywe: żółty, pomarańczowy, zielony i malinowy pięknie grać będą na tle ciemnego kostjumu.

Szale zamieniły się obecnie w małe krawaty, wiązane z fantazją dookoła szyi. Ładną całość tworzy czarny kostjum z szalikiem, skarpetkami i czapczką w kolorze czerwonym. Ciemno brązowy kostjum harmonizuje ze szczegółami w odcieniach żółto - pomarańczowo-beige.

Czapeczki narciarskie usiłują naśladować obecne kapelusiki. Nie wiem, jakim cudem utrzymują się na głowie bez wolek? Berety, szkockie toczki, ręcznie robione, posiadają pewną elastyczność, ale i to nie pomoże, zwłaszcza w szybkich zjazdach.

Na wszelki wypadek radzę się zaopatrzyć w kilka tych miniaturowych czapczek. Może nie wszystkie zostaną na śniegu, jako wspomnienie po pięknych narciarkach.

Z. T.



TYDZIEŃ MUZYCZNY

27 stycznia odbył się w Filharmonji koncert kompozytorski Artura Honeggera, jednego z czołowych i bojowych przedstawicieli francuskiej muzyki współczesnej. Choć płodność tego kompozytora jest zadziwiająca, zna Warszawa stosunkowo niewiele jego dzieł.

Urodzony w Szwajcarii w r. 1892, Honegger wcześniej przesiedlił się do Francji i „wsiąkł” w jej kulturę i prąd.

Zrazu, pod wpływem Schola Cantorum, w której się kształcił, i mistrza Wincetego d'Indy, szedł on drogą klasyczną, hołdował wzorom mozartowskim i beethovenowskim. Z tego okresu mamy „Pastorale d'été” i psalm symfoniczny „Roi David”. Zaraz po wojnie jednak uległ prądowi, był jednym z założycieli słynnej „Grupy sześciu” (wraz z Dariusem Milhaudem i Poulenc'em) i stał się najwybitniejszym przedstawicielem tego kierunku we Francji. „Pacific 231” — „Skating Ring” — „Rugby” — oto poemaciki symfoniczne, o których sam mówi, że są „tłomaczeniem na język muzyczny pewnych wrażeń wzrokowych i rozkoszy fizycznych”.

Twórczość Honeggera — ciekawa i niepokojna — w poszukiwaniu wciąż nowych dróg zahacza o coraz to nowe dziedziny i formy: opery, operetki, symfonie, sinfonietty, koncerty, oratoria, poematy muzyczne, muzyka kameralna, taneczna, — są to etapy, po których kroczy kompozytor, jakby wciąż niezaspokojony, niezadowolony, dążący do czegoś, co współczesnym twórcom przyświeca, ale czego



ARTUR HONEGGER.

jeszcze żaden z nich nie zrealizował, a co on wyczuwa lepiej od innych i do czego namiętniej od innych zdąża.

Usłyszeliśmy w piątek, pod dyktando kompozytora, „Le Chant de Nigamon” poemat na orkiestrę; koncert wiolonczelowy w wykonaniu p. K. Wiłkomirskiego;

„Rugby”; Concertino z p. Józefem Hirtem przy fortepianie, oraz Symfonię.

Wrażenie na publiczności — nieokreślone. Bo też publiczność nasza nie rozumie i nie orientuje się dostatecznie we współczesnej muzyce wogóle, a francuskiej — w szczególności. Za mało jej słyszy, za mało o niej wie. Takie wieczory wykazują dobitnie zasadniczy brak wychowania muzycznego, za co winę ponosi dyrekcja koncertów filharmonijnych w ostatnim dziesięcioleciu.

M. Kl.

Kronika muzyczna

Związek Stow. Przyjaciół Wielkiej Warszawy projektuje utworzenie „Filharmonji Ludowej” przy pomocy Warszawskiej Orkiestry Symfonicznej przy Związku Muzyków Polskich. Będzie ona miała na celu urządzenie koncertów na peryferiach miasta. Wstęp na koncerty ma być bezpłatny dla bezrobotnych.

*

Radjostacje amerykańskie nadały w czasie świąt Bożego Narodzenia kilkuminutowe audycje poświęcone Kolendom polskim.

*

Znakomity w smaku o przepięknym aromacie likier Curaçao - Orange firmy Habermusch i Schiele wyrugował z wielu stołów likier zagraniczny, droższy w trójnasób od krajowych. Przy bridg'u lub na fajfie w każdym polskim domu powinien doskonały ten likier stać na stole.

W KINACH WARSZAWSKICH

Mam wrażenie, że w żadnym kraju „wypuszczenie” filmu na ekran nie jest zależne od tylu czynników, co w Polsce. Najprzód kopja. Jest ona często ciemna i zużyta. Wyświetla się u nas filmy w takim stanie i na tak niskim poziomie technicznym, że podziwiać należy cierpliwość widza. (Nasza widownia jest wyjątkowo łagodnego usposobienia!).

Dalej napisy. Tu trzeba znów się modlić o to, ażeby ich było niewiele, żeby były krótkie, rzeczowe i wkopjowane w obraz, a nie puszczane na oddzielnej klatce, co przerywa bieg akcji.

Wreszcie cenzura. Z cenzurą dzieją się rzeczy czasem dziwne. Oto przykład.



Gwili Andre i C. Henry Gordon w scenie z rewelacyjnego filmu „MANDŻURJA PŁONIE”, ilustrującego działalność Chuchuzów w Mandżurji. W filmie tym rolę główną gra dawno niewidziany: Ryszard Dix. „Mandżurja płonie!” ukaże się niedługo na ekranie kina „Pan”.

Wiadomo powszechnie, że filmy mówione w języku niemieckim nie są u nas dozwolone. Nie wchodzę w „meritum” samego zakazu, ale skoro już istnieje jakiś przepis, powinno się go konsekwentnie przestrzegać. Tymczasem w wyświetlanej przez kilka zaledwie dni komedjo-operetce „Skończona pieśń” (muzyka Stolza), jest kilka piosenek śpiewanych po niemiecku, inne zaś i dialogi są „podłożone” w języku włoskim. Dlaczego można „przepuścić” dwie czy trzy piosenki niemieckie, a nie cztery, czy pięć? I dlaczego piosenka ma być mniej „szkodliwa” od dialogu? Ale wróćmy do filmu.

Bardzo miła operetka, pełna sytuacji zabawnych i świetna muzycznie, ale banalna w pomyśle scenarjusza i inscenizacji.

* * *

Rosyjski reżyser A. Wołkow powiedział niedawno, że „życiowość” jest pierwszym wymaganiem, jakie stawia kinematografii samo życie.

Chodziło mu zapewne o to, ażeby tematy filmów nie były oderwane od rzeczywistości, od aktualnych spraw i zagadnień, lecz pozostawały w ścisłym kontakcie z bieżącym życiem.

Takim filmem był produkt sowieckiej wytwórni „Bezdomni”, za taki można też uważać „Symfonię sześciu milionów” (kino „Pan”). Film osnuty jest na tle życia emigracji w Ameryce. Reżyser ukazuje w przekroju dzieje mieszczańskiej rodziny, którą dążenie do sławy i bogactwa zaprowadziło na manowce.

A więc jest i dydaktyzm i idea pracy dla cierpiącej ludzkości (bohater filmu jest lekarzem) i miłość ojcowska i wiele jeszcze innych rzeczy, a wszystko to podlane sosem łzawego sentymentalizmu. Ale robota reżyserska — rzetelna, gra artystów (Ricardo Cortez) realistyczna, scenariusz dobrze skonstruowany.

* * *

Tradycje Wallace'a na ekranie podtrzymuje typowy film kryminalno-detektywistyczny „Rome-Express” (kino „Colosseum”). Głównym dążeniem reżysera było trzymać widza w zacięciu aż do ostatniego momentu rozwikłania drażniącej i wielopłaszczyznowej intrygi. Chodzi o kradzież cennego obrazu, dokonaną w pociągu pośpiesznym Paryż — Rzym.

Główną rolę grają sytuacje. Ludzie są tu tylko pretekstem do wygrania „sceny”. Typowy amerykański „happy-end” kończy ten kryminalny „żart filmowy”, zreżysowany i dobrze odegrany przez artystów z Conradem Veidtem na czele.

J. Fr.

NAJMŁODSZE CHINY



Dzieci chińskie mają także swe radości i smutki, zabawy i sekrety



Stefan i Antonina Pruszkowscy, jako Dafnis i Chloe, zwracali uwagę pięknem kształtów

Panny Erskine'ówny, córki ambasadora angielskiego w Warszawie, w kostjumach pasterki i weneckianki

Na balu młodych malarzy

Bal uczniów warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych dał znowu młodym malarzom możność rozwinięcia bujnej pomysowości w dziedzinie dekoracji.

Sale przy pomocy bardzo prostych środków: barwnych wystrzygane, naklejane, karykatur — zamieniono w groteskową karnawałową bajkę. Skomponowano „Siedem grzechów głównych”, „karuzelę”, „Pływanię”, „Snobips” z parodjami obrazów znakomitych malarzy, stwarzając odpowiednie ramy dla beztrudnej, cygańskiej zabawy.

Z pośród kostjumów na wyróżnienie zasługiwały: potwór filmowy „Frankenstein” (p. Szpakowski), „Konferencja rozebraniowa” (p. Marja Iwanicka), „Problem gospodarczy” (p. Parecki), „cukierek” (kostjum z niebieskiej żelatyny p. Jakubowskiej), grupa dzikusów z Hawaji, grupa błękitnych lotników, marynarzy i t. p.

Panny Erskine — córki ambasadora angielskiego — wystąpiły — jedna w pięknym kostjumie weneckim, druga — jako pastereczka z XVII stulecia. Wielce oryginalny był kostjum angielskiego „clergymana”. Panna Robeff, córka posła bułgarskiego, zjawiała się w malowniczym stroju narodowym, p. Binentalówna w efektownym kostjumie lalki.

Nie brakło również ładnych toalet balowych, obok strojów bezpretensjonalnych, wyraźnie „kryzysowych”.

Np. pewien młodzieniec, który przybył w zwykłym ubraniu marynarkowym z włoskim słomianym kapeluszem i szmatką czerwonej gazy zawiązanej na szyi, zapytany, co oznacza jego kostjum, odparł: — Poprosto oznacza brak fraka...

Jaga.

TEATRY MIEJSKIE W WARSZAWIE

TEATR NARODOWY

Sztuka w 3-ach aktach
Jerzego Szaniawskiego

„MOST”

Lindorówna, Brydziński, Dominiak, Junosza,
Stępowski, Węgrzyn, Żeliska

TEATR NOWY

„SKĄPIEC”

Moljera

z L. Solskim

Ceny niższe

TEATR LETNI

„UŚMIECH HRABINY”

nowa komedia Stefana Krzywoszewskiego

Dulęba, Gorczyńska, Lubieńska, Nakoneczna,
Loda Halama, Fertner, Stanisławski, Kurnakowicz,
Wesołowski, Janusz, Grabowski, Hnydziński, Roland etc.

Najpierw spróbuj Faworki i Pączki

W CUKIERNIACH

K. FORKASIEWICZA

Nowy Świat 31. Krucza 11. Senatorska 18.

Już teraz prawie wszystkie większe restauracje warszawskie wprowadziły wieczorne produkcje kabaretowe. Kilkunastu artystów bezrobotnych obojga płci znalazło doręczny zarobek. Stałe dotychczasowe pobory straci wkrótce prawdopodobnie niemniejsza liczba artystów kabaretowych: któż będzie chciał płacić za bilet wstępu do teatrzyków, jeśli tych samych artystów będzie mógł okłaskiwać za darmo przy porcji indyka?..

Oczywiście, i to prędko się przeje. Niebawem ludzie zaczną szukać restauracji, w których można będzie jeszcze spożyć kolację w spokoju. Zwłaszcza, że owa darmowość produkcji przeważnie bywa dość problematyczna: pp. kelnerzy tak cię zoperują, miły gościu, że rychło z częstszych odwiedzin w tych lokalach zrezygnujesz. Wszystkie te wysiłki wogóle nie mają żadnej przyszłości, skończyć się muszą smętnie i bez zaszczytu. Czy nie lepiej byłoby wejść odrazu na właściwą drogę? W Warszawie jest sporo artystów bezrobotnych. Prawda. Między nimi są nawet znane nazwiska i wcale godne talenty. Tak jest. A prowincjonalne teatry, nawet największe, odczuwają dotkliwie brak lepszych sił aktorskich. Najwyższy czas — rozpocząć odwrót. Warszawa nie jest w stanie przyciągnąć wszystkich artystów. Kraków, Lwów, Poznań, Łódź, Wilno — to przecież duże miasta z piękną tradycją teatralną. Czemuż nie wznowić jej, podnosząc poziom tamtejszych zespołów?

Wydać nam się, że to jest jedyna droga wyjścia. Niechęć do opuszczenia stolicy tłumaczono do niedawna brakiem wolnych mieszkań we wszystkich miastach Rzeczypospolitej. Ten szkopał przestał już istnieć. Zaiste, piękniej i szanowniej jest grać dramat lub komedię w Krakowie czy Poznaniu, niż czynić heroiczne wysiłki celem odwrócenia uwagi tłustych burżujów od dymiącego półmiska.



Skarb dziecka
i matki

Puder, Mydło, Krem

BEBE SZOFMANA



Zmarły dn. 21 stycznia r. b. w 40-tym roku życia, ś. p. Stefan Woyczyński, służył w organizacjach bezpieczeństwa. Początkowo od 4 sierpnia 1915 r. w Straży Obywatelskiej, następnie w Milicji Miejskiej, w której brał czynny udział w rozbrajaniu okupantów w listopadzie 1918 r. Dalej służył w Policji Komunalnej, a ostatnio w Policji Państwowej. W Rezerwie pieszej w Warszawie, zajmował stanowisko aspiranta, następnie kierownika w XVII komisariacie, dalej podkomisarza — zastępcy kierownika w X Komisariacie i w końcu kierownika w VIII Komisariacie. Do ostatniej chwili był członkiem Zarządu Klubu Oficerów Policji Państwowej m. st. Warszawy, członkiem Zarządu Polskiego Związku Szermierczego, kierownikiem sekcji szermierczej Policyjnego Klubu Sportowego w Warszawie. Dekorowany był srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem Dziesięciolecia Niepodległości, Medalem za wojnę 1918 — 1920.

Brał wybitnie czynny udział w życiu korpusu Policji Państwowej m. st. Warszawy, zarówno w stosunkach służbowych, jako też w pracach społecznych organizacji tejże Policji Państwowej. Osierocił żonę i jedenastoletniego synka.

Zmarły będąc obdarzony dobrocią serca, uczynnością, pogodnym charakterem oraz sumiennnością w spełnianiu swych obowiązków, zjednał sobie ogólną sympatię i uznanie zwierzchników. To też żał szczerzy towarzyszy mu do grobu.

Cześć Jego pamięci.

Wszechzwiązkowe Zjednoczenie „TORGsin” przekazy pieniądze do ZSRR.

Wszyscy mogą teraz przekazywać pieniądze swym krewnym i znajomym zamieszkałym w ZSRR. celem otrzymywania towarów z magazynów „Torgsinu”. Przekazywać można pieniądze w nieograniczonej ilości i wszystkim bez wyjątku osobom. Odbiorca przekazu może według swego upodobania zaopatrywać się w towary wysokiego gatunku po cenach b. przystępnych. Przekazy na „Torgsin” przyjmują najpoważniejsze banki w Polsce. Informacji o sobie, telefonicznie lub piśmiennie, po otrzymaniu znaczka pocztowego, udziela Przedstawicielstwo Handlowe ZSRR. Warszawa, Koszykowa 4, tel. 9-06-66.



ZNANY SPORCMEŃ, INŻ. CZESŁAW KOŁODZIEJSKI ZBUDOWAŁ ŚLIZGOWIEC NA PŁOZACH, KTÓRY PRZEZ ZASTOSOWANIE ŚMIGŁA OSIĄGA 80 KIL. NA GODZINĘ PO ZAMARŹNIĘTEJ POWIERZCHNI WISŁY

Fot. Jan Ryś

Ludwik Reinberg - Czystogórski



W dn. 28 stycznia zmarł po długich cierpieniach, w wieku 77 lat, Ludwik Reinberg-Czystogórski, długoletni artysta, a następnie dyrektor teatrów w Warszawie i na prowincji. Zmarły położył wielkie zasługi, szerząc polskie słowo podczas niewoli we wszystkich 3-ach zaborach, prowadził własny teatr przez blisko 30 lat. Cieszył się wielką sympatią wśród świata artystycznego, jako człowiek prawy i uczynny.

Cześć Jego pamięci.

ZA KULISAMI URODY

Istnieje dziedzina wielkich cierpień i ukrytych heroizmów, o której się mało mówi — to dziedzina piękności. Czy myślicie, wy wszyscy, którzy podziwiacie królowe balów, że uroda ich to dar boski.

— Nic podobnego. — Natura poto jest, by ją poprawiać. Zajmuje to dużo czasu i cierpliwości, coś dziwnego, że jej nie raz dla otoczenia nie staje, ale cel osiągnięty — patrzycie na PIĘKNO.

Co jakiś czas pewien typ zabiegów zostaje uznany za najważniejszy dla urody. Nie zdziwcie się więc obecnie, jeśli zobaczycie, że piękna pani patrzy surowo w lustro, a usta jej powtarzają pełne wszelkich możliwości francuskie „U”, i zwykłe „iks” naprzemian. To ćwiczy muskuł ust — przecież najważniejszy. Kto z mężczyzn zrozumie powolną męczarnię „wieczno-trwałej ondulacji”, grożącej spalaniem włosów? Kto odczuje cierpienia godzinnej ślepoty przy farbowaniu rzęs z perspektywą zapalenia oczu? Kto się nie wzdrygnie na kompres z lodu położony na twarz, lub maskę z wstrętnej szarej masy, która usuwa zmarszczki? A wyszukane tortury wrywania brwi i naklejania rzęs, zapach maści odwłasiających, brutalność masażystek, ciarki prądów elektrycznych i wreszcie wyrzeczenie największe — głód lub racjonalne odżywianie się, osiągnięcie seraficznej postaci, które słuszenie w nagrodę do bram nieba prowadzi! A coś powiecie na najświeższy wynalazek Amerykanki, która uznała szminkę za niezdrową dla skóry i wzorem Czerwonoskórych, każe sobie tatować policzki i wargi na stałą barwę różową?

Cóż znaczą wobec tych nowości niewinne sznycle ciejące, które nasze babki okładały policzki, a co niejedna z wnuczek i dziś podobno w sekrecie próbuje.

Czasem ukazują się ostrzegawcze głosy mężczyzn. Z ust dr. Bruno Cepteking, profesora antropologii w Columbji, wyszła straszna groźba: „Kobiety przyszłości będą owłosione. Organizm ludzki posiada pewną ilość komórek włosowych, które muszą się „wyżyć”. Jeśli piękne Panie nie pozwolicie im rosnąć na głowie, wyrosną gdzieindziej. Zasłonią alabastry waszych ramion, róże piersi i kości słoniowe pleców”.



J. SZACH

DERNIER CRI
JAPONSKI BIAŁY BEZ
PLUIE DE FLEURS
SZACHIS-QUATRE VALETS

PERFUMY WODY KWIATO
WE PUDRY MYDŁA KREMY

Bieg narciarski pod Warszawą



NA BIELANACH ODBYŁ SIĘ W UBIEGLĄ NIEDZIELĘ 16-STOKILOMETROWY BIEG NARCIARZY. ILUSTRACJA NASZA PRZEDSTAWIA ZJAZD ZAWODNIKÓW PO POCHYLEŃCI WZGÓRZA, POKRYTEGO PUSZYSTYM ŚNIEGIEM

Idealna podróż samochodem

Mnożą się wypadki samochodowe po całym świecie, i mnożą się sposoby i pomysły zmniejszenia niebezpieczeństwa, którym staje się automobil w niepewnych rękach.

Dla zbadania zdolności szoferskich wynaleziono m. in. ruchomą panoramę, która przesuwa się przed oczyma kandydata na szofera, siedzącego przy sterze aparatu, mającego imitować prawdziwą naszynę. Badany musi poruszać sterem, hamulcami, biegami etc., tak, aby szczęśliwie przejechać całą drogę, którą widzi na panoramie. Tu widzi przed sobą niebezpieczny zakręt, tam, z przeciwnej strony, nadjeżdża z wielką szybkością wóz ciężarowy, to znowu musi pędzić wdół. Nic mu się naturalnie nie stanie jeżeli nie wykona właściwego manewru: i samochód jego i panorama są malowane — ale wrażeń i wzruszeń ma tyle, ile w najprawdziwszej wycieczce turystycznej.

Otwierają się tedy nowe, niewyzyskane dotąd możliwości dla nerwowych i bojaźliwych amatorów szoferki. Bez narażenia życia swego i życia bliźnich mogą oddawać się rozkoszom szoferki. Dla pełnego złudzenia, możnaby napędzać świeże, ostre powietrze: byłby i wiatr, i ruch, i dreszcz niebezpieczeństwa.

Radosna Szkoła

Prywatna 7-mio kl. Szkoła Pow-
szechna Koedukac. i Przedszkole

ul. PIĘKNA 10, róg Al. Ujazdowskiej (vis-à-vis Parku Ujazdowskiego)

Przyjmuje zapisy do wszystkich klas (klasa V = I gimn., klasa VI = II gimn.) codziennie w godzinach 9 — 13

Lokal komfortowy, urządzenie nowoczesne, Opieka lekarska. Rytmika. Języki obce.

Opłata przystępna. Na żądanie komplety. Ilość dzieci w klasie ograniczona

NOWOCZESNE DRUKI REKLAMOWE



GALEWSKI i DAU
ZAKŁADY DRUKARSKIE
WARSZAWA, ORDYNACKA 6.

W tańcu podanie wilgotnej dłoni
pozostawia zawsze przykre wrażenie



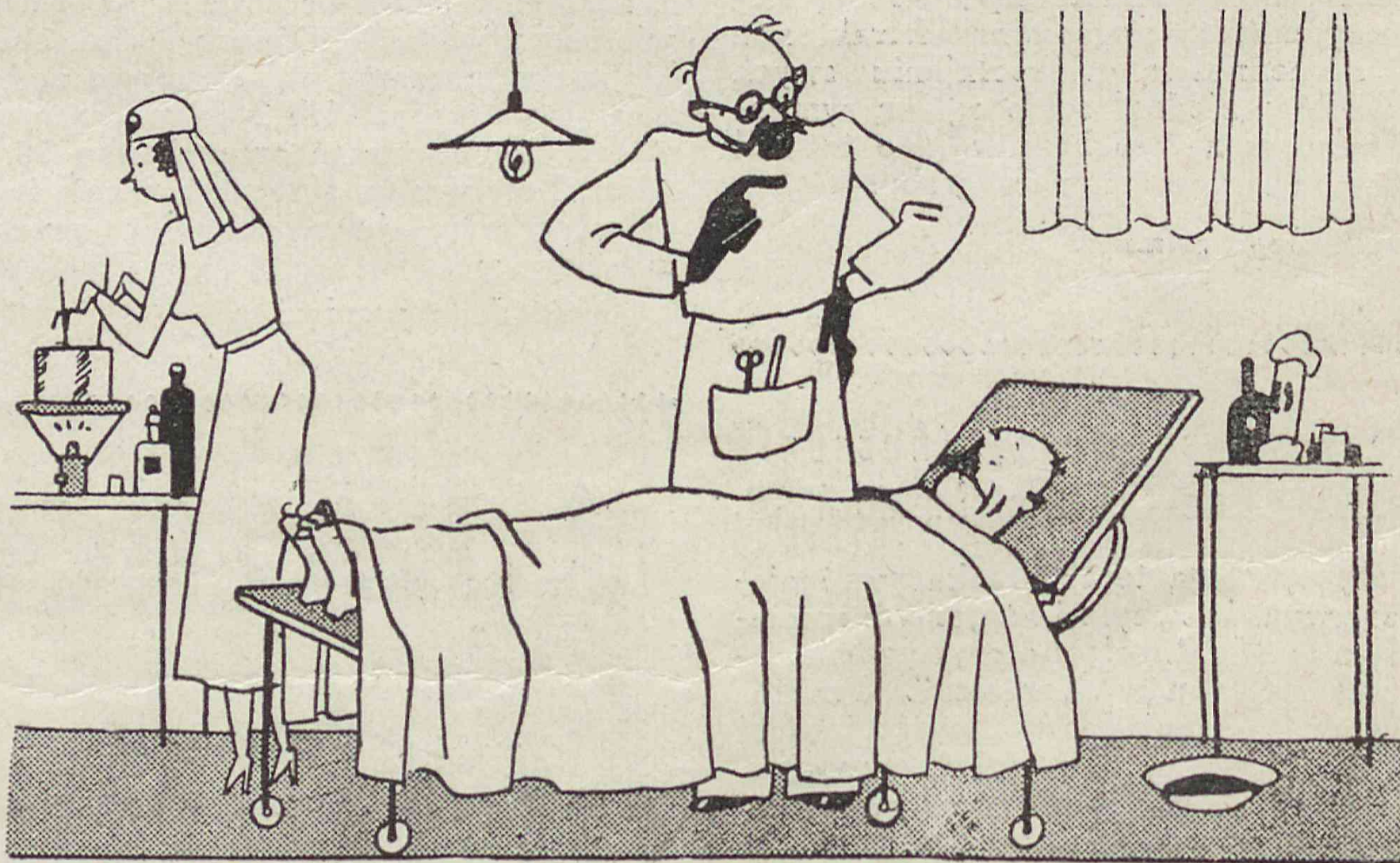
DINOL (płyn) opatentowany, niezawod-
ny środek od potu rąk i pach

DINOL (proszek) od potu nóg

usuwają radykalnie pot i nieprzyjemną woń potu
pach, rąk i nóg. Skutki gwarantowane już
po pierwszym użyciu. Labor. Chemiczne
„DINOL” Warszawa, Elektoralna 26



Zdrowie to
skarb —
bądź zawsze
ostrożny



CHORY: — Za wycięcie ślepej kiszki tysiąc złotych? Panie doktorze!
Za drogo!

LEKARZ: — Sumy nie mogę zmniejszyć. Ale jeśli pan chce, w drodze
ustępstwa mogę panu za jednym zachodem wyciąć jaki inny organ...



Tegoroczne powieści „Świata”

Co miesiąc „ŚWIAT” daje swoim prenumeratom, jako

DODATEK BEZPŁATNY,



**to wartościowych,
najnowszych powieści**

najwybitniejszych autorów o wszechświatowym rozgłosie.



W styczniu 1933 r.

Teodor Dreiser: „GALERJA KOBIET”

Przekład autoryzowany Z. Popławskiej

Autor „Tragedji Amerykańskiej”, znanej już w Polsce i z filmu i z książki, w swej ostatniej powieści „Gallery of women” daje przegląd kobiecych charakterów. Parokrotny kandydat do nagrody Nobla, jeden z najgenialniejszych pisarzy współczesnych, książką tą dowiódł, że należy dziś do najlepszych znawców duszy kobiecej. Postacie „Galerji kobiet” — to postacie wyjęte z życia, to rzeczywisty obraz połowy rodzaju ludzkiego XX wieku.

W lutym 1933 r.

W. Somerset Maugham: „Obca naleciałość”

Przekład autoryzowany Bolesławy Kopelówny

Somerset Maugham jest doskonale znany naszym czytelnikom chociażby z dołączonego niedawno do „Świata” — „Okrągłego tuzinu”. Oszałamiające powodzenie, jakim się cieszyły jego sztuki, wystawiane w teatrach polskich, poczytność jego dzieł wydawanych w Polsce skłoniły nas do poszukiwania jego ostatnich dzieł. „Obca naleciałość” jest jedną z najlepszych prac tego pisarza i dramaturga. Maugham z niezrównanym mistrzostwem ukazuje nam życie współczesnej Anglii, dumnego Albionu, odgroźonego od Europy murem „wspaniałego odosobnienia”.

W marcu 1933 r.

Kpt. A. E. Dingle: „KOBIETY Z WYSPY”

Przekład autoryzowany Dr. H. Bukowskiej

Jest to powieść egzotyczna, przedstawiająca życie Europejczyków, rozsiadanych po bezmiernych obszarach kolonii angielskich na Wschodzie. Barwne typy tubylców, tajniki duszy mieszkańców Wschodu, porywająca akcja, czynią z „Kobiety z wyspy” arcydzieło. Książka ta obecnie zyskuje na aktualności wobec wypadków na Wschodzie, gdyż akcja rozgrywa się na jednej z wysp, będącej pod protektorem Japonii.

Autor, sam podróżnik, włóczęga po całym świecie, w powieści tej łączy sensacyjność akcji z rozmachem pisarza i psychologa.

